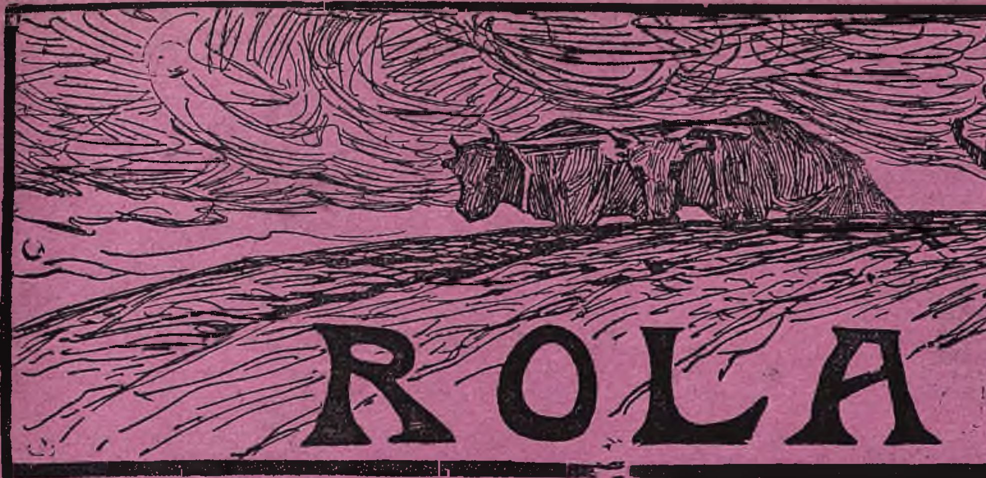
Numer 12. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 20 Marca 1927.



KRAKÓW,
ulica św. Tomasza
32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Zboża siewne

Nasiona warzywne (z Danji) — pastewne, jak buraki, trawy, koniczynę czerwoną, białą i szwedzką, seradelę bobik, wykę, tymotkę i t. p., następnie nawozy sztuczne, jak azotniak, tomasynę, superfosfat, saletrę chorzowską, chilijską, wapno palone i t. d. dostarcza po cenach bardzo umiarkowanych

„JEDNOŚĆ“
Spółdzielnia Rolnicza
Kraków, ul. Raformacka 3,
tudzież Filja I. przy ul. Basztowej 12, Filja II. ul. Kamienna 1. — i Filja III. w Krzeszowicach.

!Rolnicy!
pomnijcie, iż
miał wapienny nawozowy
rozpulchnia, użyźnia i odkwasza glebę oraz niszczy robactwo. Zamówienia przyjmują:
Miejskie Zakłady Ceramiczne Kraków, Lwowska 2.

Najlepsze i najtańsze źródło zakupu!



Harmonje ręczne czeskie, najlepsza sorta 10 tonów i 4 basy od Zł. 35—40, 21 tonów i 8 basów, półtonówki i helikonki od Zł. 80—220. Skrzypce — model Stradiwariusa, Stainera i inne od Zł. 20—40, oraz wszelkie instrumenty muzyczne i przybory — poleca za zaliczką: M. TAFFETA NAST.
Kraków, Szpitalna 8.

Kapelusze męskie, Bielizna, Krawaty, Skarpetki, Pończochy, Rękawiczki i t. p.
najtaniej poleca firma
„Au Bon Marché“
Kraków, św. Tomasza 20
przecznica Florjańskiej.

NAJLEPSZE NASIONA
warzywne, kwiatowe i pastewne
poleca
Skład nasion **ZAGON**
Sk. z ogr. por.
KRAKÓW, BASZTOWA L. 17.
Na żądanie wysyłamy cenniki bezpłatnie.

Zygmunt Lauer zegarmistrz-specjalista
Kraków, ul Zwierzyniecka L. 18
wykonuje wszelkie roboty zegarmistrzowskie precyzyjnie, szybko i tanio.

Akumulatory
Syst. „Pollak“ do Radja, Samochodów
Stacje stabilne,
Ładownie akumulutorów. Płyty zapasowe.
R. H. Kowalski
Materjały elektrotechniczne.
Kraków, ul. Garbarska L. 26.

Różne miary.

Klient, mocno zirytowany, wpada do krawca i rzecze:

— Panie! tak się nie godzi! Ubranie, które mi pan niedawno zrobiłeś, rozlazło się po miesiącu chodzenia!

— Phi! — odpowiada flegmatycznie krawiec — pieniądze, które mi pan zapłacił, już na drugi dzień mi się rozlazły.



Nareszcie odmłodniał!...

— Icyk! tyś dziś młodszy o dziesięć lat! Co cię tak odmłodziło?

— Nu... ja si dziś po dziesięciu latach wikąpałem.



W sądzie.

Sędzia: Czy pan żonaty?

Świadek: Nie, panie sędzio, ten siniak co mam na głowie pochodzi od wczorajszej zabawy w szyneczku.

Wynagrodził go...

— Gospodarzu, a dyć ja już dziesięć lat u was służę...

— Dobrze! naści, zakuż se fajki.



Przed ślubem.

— Maryna... pocałujwa się jesce na dobranoc! Jutro nas ślub, to się zacniewa bić!...



Ludzka rzecz...

— A więc zbiliście kobieto swego męża do krwi?

— Pani sędzio!... czy się to panu w domu nigdy nie przytrafi?



W sklepie.

Marysia: Proszę za czterdzieści groszy cukru i sześćdziesiąt groszy reszty, a mama jutro odda złotego.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.

Sprzedaż częściowa i hurtowna.

Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Podolską

koniczynę czerwoną

wysyła w każdej ilości, najmniej 5 kg., w cenie 4.60 zł. za 1 kg.

K. Buksak, Kupczyńce, poczta Denysów, woj. Tarnopolskie.

Gwarantowana siła kiełkowania.



Dom muzyczny

Ignacy Cypres

Kraków, ul. Szewska L. 13 Rot.

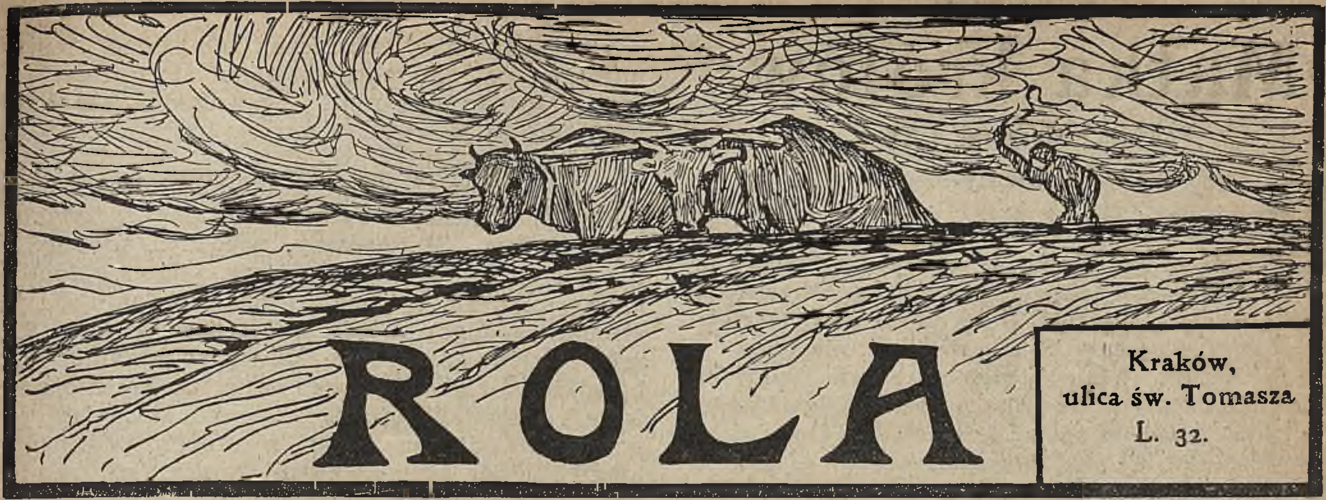


wysyła mandoliny włoskie po 26.30 zł., koncertowe ozdobne 35—45 zł., skrzypce szkolne ze smyczkiem 22 złote, koncertowe 30, 40 i 50 zł., klarnety 8 klap 38 zł., 10 klap 45 zł., 12 klap 50 zł., gitary koncertowe 40—45 zł Kornety 120 zł., Harmonje registry 25 zł., Wiedeńskie 1-rzędowe 35 zł., dwurzędowe 50 zł. Nikl. „Gre Reskopf" patent. z łańc. 13 zł., nikl. płaski zegarek słynnej marki „Enigma" 22 zł., budzik 14 zł., brzytwy „Solingen" po 6, 8 i 10 zł., maszynki do włosów 9—12 zł., djamenty do szkła po 7, 9 i 12 zł. Cennik ilustrowany zegarków i instrumentów darmo i opłatnie.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli" lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy

Numer 12. Rok X. Kraków, dnia 20 Marca 1927.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1927: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 kor. cz., kwart. 15 kor. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 groszy. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

O prochy Juljusza Słowackiego.

W ubiegłym tygodniu przyniosły telegramy wiadomość z Warszawy, że Rada ministrów uchwaliła sprowadzić prochy jednego z największych poetów polskich Juljusza Słowackiego i pochować je na Wawelu. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć sobie, kim był Juljusz Słowacki i dlaczego w tyle lat po jego śmierci troszczy się o jego szczątki tak poważne ciało, jakiem jest Rada ministrów.

Kim był Juljusz Słowacki, tego chyba przypominać nie trzeba, gdyż znamy wszyscy jego przepiękne utwory, czytaliśmy je wielokrotnie i zapewne niejeden z nas umie wyjątki z nich na pamięć. Znamy więc i ową cudowną wprost pieśń miłości p. t. „W Szwajcarji" i pełen grozy poemat „Ojciec zadżumionych" i „Lillę Wenedę" i „Balladynę" i tyle innych, których tu wyliczać byłoby trudno.

Mniej może posiadamy wiadomości z jego życia, które było jednem pasmem smutków, boleści i zawodów. Juljusz Słowacki urodził się w Krzemieńcu w dniu 4 września 1809 roku. Było to dziecię wątłe, obudzające obawę o dalsze swoje istnienie. Babunia na jego intencję chodziła do kościoła, aby uprosić dla niego życie, które zdawało się ulatywać. I uprosiła, ale życie to było ciągłem zmaganiem się ze śmiercią. W czwartym roku chorował niebezpiecznie, w kilka lat przechodził niebezpieczną odrę. A nadto suchoty były dziedziczną chorobą w całej rodzinie, której nie uchronił się również Juljusz i która wreszcie zabrała go z tego świata.

O rozwijającej się chorobie wiedział dobrze Słowacki i oceniał niebezpieczeństwo, ale nie chciał przebywać w pięknej Florencji, gdzie to życie jego mogło było dłużej istnieć. Na dziesięć lat przed zgonem przeniósł się na stałe do Paryża, gdzie swe życie samotne zamykał prawie ciągle wśród czterech ścian skromnego na wysokich piętrach mieszkanka.

I w mieszkanku tem tworzył owe cudne swe pieśni, którymi się my po dziś dzień zachwycamy. Wprawdzie i jemu, jak każdemu z nas, życie było drogie, toteż jeździł od czasu do czasu do miejsc kąpielowych, ale nie radził się żadnego lekarza i nie stosował żadnej kuracji, którąby bieg choroby powstrzymać mogła. Mimo to wierzył, że sama siła woli, że duch jego mocny potrafi utrzymać uciekające życie. Była to jednak zgubna ułuda i otaczający go widzieli, iż dni Słowackiego są policzone. W zimie 1849 roku stan jego zdrowia pogorszył się znacznie i krwotoki stały się tak częste, że w lutym poeta sporządził testament, o czem w tajemnicy przed matką doniósł swemu wujowi Teofilowi Januszewskiemu. Ostatni to był list jego do rodziny.

Przeczuwając zgon bliski, Słowacki wezwał do siebie Szczęsnego Felińskiego, jednego z najserdeczniejszych przyjaciół swoich. Feliński przybył z Monachium do Paryża w marcu 1849 roku i razem z młodym malarzem, Karolem Petiniaud-Dubes, Francuzem, człowiekiem złotego serca, nie odstępował poety aż do chwili zgonu.

Zgon ten nastąpił dnia 3 kwietnia 1849 roku we wtorek o 11 przed południem.

I tak zmarł Słowacki na obcej ziemi, obcy urządzili mu pogrzeb, wśród obcych szczątki jego spoczywały przez tyle lat. Aż dopiero obecnie nadchodzi chwila, że ten, który tak ukochał swą Ojczyznę, przybędzie wkrótce na wolną jej ziemię, ażeby wśród królów tej ziemi spocząć na Wawelu i przebywać wśród rodaków, którzy z czcią największą zawsze go wspominają.

Matka królów.

Powieść historyczna z XV w.

3. Swaty.

Księżna Juljanna nie przyszła dnia tego do wieczerzy, nie chciała się spotkać z Sonką; potrzebowała gniew swój wypłakać i myśleć nad tem, jak męża odwieść od raz powziętego zamiaru. Przy wieczerzy Sonka siedziała, nie mając do jedzenia ochoty, łamiąc chleb w rękach bezmyślnie i wodę popijając; a jak tylko misy zdejmować zaczęto, wymknęła się do swojej komnaty, do której za nią stara piastunka, Femka, ciągnęła.,.

Od tej niedawnej chwili, gdy się tak po dziecinnemu na huśtawce zabawjała, Sonka zdawała się jakby o lat kilka dojrzalszą i starszą.

Padł na nią ten Witoldowy wyrok, którego spełnienia wiedziała, że nie uniknie, jak ostudzający wody strumień. Wszystko teraz walczyło w niej, poruszało się, ważyło. Czuła, że musiała być inną.

Gdy zostały same, rzuciła się w objęcia Femki i zawołała płaczliwie:

— Moja stara! moja stra! a! jak rychło przepowiednia się ziściła!

Femka przywiązana do niej, jak do dziecka, zadrżała wylękła.

— Boże! cóż się stało?

— Wuj mnie swata — drżącym głosem poczęła Sonka.

Przeżegnała się Femka.

— Daj Boże w dobrą godzinę — rzekła, ręce składając. Przecieżbyśmy wolne były od tej.

Wskazała na drzwi palcem.

— A tybyś odetchnęła swobodnie...

— Ale mąż — oczy sobie zakrywając, poczęła Sonka — dziad stary! ojcemby mi być mógł, lub...

— Kto? — przerwała piastunka...

Sonka schyliła się jej do ucha.

— Jagiełło!

Teraz Femka sobie oczy zakryła rękami drżącemi i pozostała tak długo milcząca, jakby się modliła czy płakała. Tymczasem dziewczę zadumane odzyskiwało moc nad sobą.

— Taka dola! — rzekła śmielej. — Stary, ale król... i Sonka królową, a Juljanna by się jej kłaniać musiała!

W oczach jej błysnęła duma.

— Królową będąc, nie chodziłabym jak tu w tych łachmanach — potrząsnęła zieloną wytartą sukienką. — Obwiesiłby mnie klejnotami.

Sparta na ręku Femka, nic jakoś nie odpowiedziała.

— O! dla jednej Juljanny ja nie będę się wypraszała, nie! Wiem, że ona się zje ze złości. Ona księżną, a Sonka królową!!

I potrząsnęła za ramię piastunkę, domagając się odpowiedzi. Femka dumała zatopiona w sobie.

— Widziałaś ty Jagiełłę — spytało dziewczę...

— O! o! wiele razy i dawniej, gdy jeszcze młodszym był i teraz — poczęła Femka, przybita tą niespodzianą wiadomością.

— Straszny on jest?

— A! nie — westchnęła piastunka — dobry nawet a powolny i szczodry... ale...

Tu pokręciła głową.

— Trzy żony miał! — wyrwało się Sonce.

Milczały obie. Księżniczka zamyślona, znowu ją uderzając pa ramionach rozbudzić się starała.

— Mów ty mi o nim! — zawołała — ale prawdę, wszystko, bo ja wiedzieć muszę, komu mnie dadzą i co mnie czeka.

— Stary już, ale taki krzepki do łowów i w lasy, jakby młodym był. Tylko twarz ma zgrzybiałą, a włos siwieje... Małomówny, pobożny... nieufny... O! nie wierzy kobietom! nie wierzy. Pierwszą żonę węgierkę miał, której pono do dziś dnia żałuje, i pierścionka jej nigdy z palca nie zrzuca, a córce, którą miał z drugie dał jej imię. Mówią, że jak anioł piękną była, ale od ciebie , dziecko moje, nie kraśniejsza pewnie, i dobra też miała być... ale szła za Jagiełłę przymuszona. Ludzie powiadali, że innemu przeznaczoną była i kochała go... przymusili Polacy... szła za niego! Taka dola nasza, kochasz czy nie, wydadzą cię, — darmo płakać, kiedy słuchać trzeba... Oskarżyli ją potem przed Jagiełłą, że się z tym pierwszym widywała... aż sąd musiał być i przysięgali ludzie, a potwarca odszczekał pod ławą, bo łgał, jako pies. Nie długo żyli z sobą — mówiła dalej piastunka... Zmarła ta pierwsza królowa... biedaczka...

— No? i prędko drugą wziął? — spytała Sonka.

— Coś rychło, bo mówili, że się lękał, aby go Polacy precz nie wygnali; więc wziął inną z krwi polskiej, po ich królu dawnym... Ta już mu nie tak była miłą... Jak za pierwszej tak z drugą — nie siedział nigdy razem, — ciągle w lesie. I tej ludzie nie darowali... prawili, że mu była niewierną.

— A on? — spytało dziewczę.

— On? wierzy łatwo — mówiła Femka.

— Uczynił jej co?

— Poświadczyli i tej, że niewinną była... Po tej pono nie bardzo bolał, gdy mu zmarła... Wyswatała mu siostra trzecią...

Sonka westchnęła.

— Śmiali się a gardłowali ludzie, gdy się z nią żenił, bo stara baba i chora, a zła i zgryźliwa; co gorzej, że ona mu słyszę, chrzestną matką była, a z taką, jak z rodzoną żenić się nie godzi, ale czego królom nie wolno? Naprzód się żenił, potem księży o pozwolenie prosił. Więc co robić mieli. Ludzie tej starej nie lubili, bo i prosta szlachcianka była i trzech pono mężów miała, nim się królowi dostała... gdy od ślubu jechali, wozy się łamały i w króla piorun bił, że omal z życiem uszedł... Dosyćby mu trzech było — zakończyła piastunka.

Położyła jej Sonka palec na ustach...

Długo tak siedziały obie zadumane... Femka z płaczem zaczęa ściskać ją za kolana...

— A! innego tobie trzeba było; sokoła białego, bohatera w złotej zbroi, ze słonecznem liczkiem, jak ty, pięknego i młodego!

Sonka wpatrzyła się w okno.

— Z dolą nie wojować, ściany nie przebić głową — rzekła — Witold co powie, to musi się spełnić. Uczyni mnie królową.

Pochyliła się do piastunki i szepnęła jej do ucha.

— Ale powiedział mi, że ja słuchać go muszę i służyć mu powinnam! Królowa? (pokręciła główką). Nie! mnie ludzie będą słuchali... nie ja drugich, nawet wuja Witolda... Nie!! nie! Na to za starego idę, abym rozkazywała jemu i wszystkim...

Z przestrachem usłyszała te słowa Femka i przeżegnała się jak zawsze, gdy coś złego odegnać chciała.

— Wojuj ty z kim chcesz, — rzekła — tylko nie z nim! On i z Jagiełłą, co chcę poczyna i z panami niemieckimi i z królami i z książęty, bo mocny jest i ro-

zumny. Tobie z nim nie walczyć, ani mu się sprzeciwiać! O! nie.

Nie odpowiedziała nic Sonka.

Noc nadeszła w czasie rozmowy, Femka poszła łóżeczko uściełać i kaganek zapalić, a księżniczka została przy oknie zapatrzona w nie, choć poza nim już widać nic nie było, oprócz kawałka ciemnego nieba, upstrzonego gwiazdami.

Nazajutrz Sonka wstała mężną, pogodzona ze swym losem; stary mąż z koroną na głowie zwyciężył!

Spotkały się z Juljanną, która nie rzekła do niej ani słowa, władzę tylko swą nad nią wywierała z surowością największą, jakby przeczuwała, że nie długo będzie trwała.

Witold przy żonie oczyma zmierzył siostrzenicę; i nie rozpoczynał rozmowy, aż do wieczora, gdy samą ją spotkał.

— Widzę — rzekł z trochą szyderstwa — żeś sobie oczu nie wypłakała... rozum masz... Pamiętajże, com mówił wczora. Królową cię uczynię, ale musisz mi być posłuszną, a staremu to do ucha kłaść, co ja każę.

Sonka bystro na niego spojrzała; zdało się, że odpowiedzieć coś chciała, ale wstrzymała się. Książę odszedł.

Tegoż dnia Cebulka potajemnie został wyprawiony do króla, który naówczas w lasach na łowach był. Zręczny poseł w Niepołomicach go napędził.

Królowi, gdy posła z Litwy zobaczył, aż się w pomarszczonych powiekach oczy zaśmiały, bo i w Krakowie, i gdziekolwiek był, za swą Litwą tęsknił zawsze, a co mu nią pachło, choćby wrogie było, ciągnęło urokiem niewypowiedzianym. Zobaczywszy Cebulkę, śmiać się począł do niego i siadając za stół, stanąć mu kazał podle; zaraz o Witolda, o Wilno, o wszystko rozpytywać począł. Rad mu był bardzo.

Cebulka, póki dwór ich otaczał, z listem od pana nie zdradził się, pokłon tylko przynosząc. Jagiełło się tego domyślił łatwo, i po wieczerzy na pościel padłszy, dwór odprawił, Cebulkę zostawiając przy sobie.

— Z listem mnie do waszej królewskiej miłości pan mój posłał, ale pisanie to tajemne jest — odezwał się pisarz.

— Mówże, co w niem, boś ty je pewnie pisał sam — uśmiechnął się król.

— Boleje książę Witold bardzo, — mówił Cebulka, że w. miłości niebezpieczeństwo grozi.

Król się podniósł, spierając na łokciu, oczyma rzucił dokoła.

— Co? jakie?

— Od rzymskiego króla — mówił pisarz — bo to pan wielce chytry, kłamliwy i obłudny a cokolwiek czyni, tylko dla siebie, nie dla miłości czyjej.

— Witold go nie lubi — wtrącił zadumany Jagiełło. — A przecież on mi wielkie ofiarował związki i korzyści.

— My o tem wszystkiem wiemy, — przerwał z poszanowaniem Cebulka — ale jego się najwięcej bać należy, gdy takim dobrym się czyni... Książę i o tem słyszał, a wie pewnie, iż rzymski król swatem chciał być.

Rozśmiał się Jagiełło.

— Wie Witold wszystko — rzekł — tajemnicy z tego nie robił Zygmunt. Córkę mi gotów dać albo wdowę, królowę czeską.

— A w obojgu zdrada tkwiła — dodał Cebulka. — Córka jego dziecięciem jest, na które by miłość wasza czekać nie mógł, nim dorośnie, czeska zaś królowa wdową jest...

— Witold nie chce, bym się ja żenił — przerwał kórl. Ja to wiem. No i biskupi, i Zbyszek wszyscyby mnie od małżeństwa chcieli odwieść. Mówią mi, żem stary, a ja się nie czuję takim zgrzybiałym, żebym żonki nie mógł brać... Witold...

— Książę Witold właśnie zdania jest innego — żywo zawołał Cebulka, — i owszem chce i radzi, abyś się miłość wasza żenił.

Król spojrzał zdziwiony mocno.

— Może to być?

— Tak jest, i z tem mnie posyła — mówił pisarz... Tylko Niemki, ani Węgierki, ani Czeszki wam nie radzi, ale starym obyczajem Rusinkę.

Król zwrócił się cały ku Cebulce, oczy mu poweselały.

— Niechże mi taką da! — rozśmiał się — ale nie starą babę, tylko miłą krasawicę... a wesołe ptaszę...

Pisarz dał królowi chwilę czekać i odezwał się głos zniżając.

— Własną siostrzenicę, Sonkę Holszańską książę Witold swata i rai. Dziewka to młoda i urody osobliwej, humoru wesołego, — dobra i piękna.

— Mów, mów, — jak ona wygląda, bom ja jej nie widział od dziecka... Liczko jakie, oczy...

Cebulka zwolna opisywać zaczął, znając króla, że mu piękność niewieścia nigdy obojętną nie była. Słuchał Jagiełło ciągle wesół, aż się zachmurzył nagle.

— Taka, jak ta pierwsza, co jej pierścień na palcu noszę, — westchnął — taka jak tamta nie będzie...

— Miłościwy królu, ci co ją i tamtą widzieli — rzekł Cebulka — poświadczą, iż jej nie ustąpi, a weselszą jest, czego wam potrzeba, abyście po trudach mieli rozrywkę i wytchnienie przy niej.

— Mów jeszcze, co więcej?

Naostatek Cebulka mówić już nie miał co. Król się zamyślił.

— Jabym rad Sonkę wziął — rzekł powoli, wahając się — ale niemało z tem trudu będzie, nim mi klechy pozwolą. Oni się już domyślają, że mi swatają ze wszech stron, to też spokoju nie dają odwodząc od małżeństwa.

— Cóż ja mam zanieść panu mojemu w odpowiedzi? — zapytał Cebulka.

— Czekaj do jutra — rzekł król po namyśle. — Jedź ze mną do Krakowa, tam odpowiedź otrzymasz. Rusinka mi się lepiej od innych uśmiecha, bo to swoja... jak moja matka była, i z nią łatwiej, niż z temi niemkiniami, do których trzeba włosy smarować i jedwabie wdziewać.

Przerwało mu powtórzone westchnienie.

— Idź spać, Cebulka, bo i mnie się już oczy kleją...a nikomu nie mów o Sonce!

Z tem się rozstali.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Przechodzi życie...

Przechodzi życie... Walki, znoje,
Radości mało — wiele smutku,
Śmiech i ból, żałość i niepokoje...

A śmierć się zbliża powolutku!...

A. M.



MACIEK BZDURY GADA:

Nas prefesur, co to nietylko cytać umi, ale i cytać lubi, przyniósł nam wkiejsik taką hamerykańską gazetę, w której było opisane o Walku Wielgiem, synu Jadamowem i tak nam cytoł:

Walka Jadamowego nijak we wsi nie nazywali, ino Wielgi. Drągal był chłopisko, nie mieścił się w zadne drzwi, nawet w kościele parafjalnem musiał się schylać, gdy przestępował próg Boży. Choć miał juz koło trzydziestki, Poniezus poskąpił mu zarostu, rzadkie tylko kępki włosów stercały na dziobatej twarzy. Głos miał cienki i trochę jąkliwy, a rozum, jakby głupkowaty. Do tego wszyćkiego, na złość chyba jakąś, los nadarzył mu kobietę małą, skąd tez spotykały go ciągłe docinki i przymówki:

— Walek! — zagadywał niejeden.

— A co?

— Som idzies?

— Dyć widzis, ze som!

— Nie z Magdą? E, chyba z Magdą!

— Ślepyś, cy co! Przecie widzis, ze jej nima!

— Widzieć to widzę, ale zdaje mi się,ześ za pazuchę ją wsunon!

— He, he! — śmiał się piskliwie Walek. — Mała, jucha, bo mała, ale kobitka, ze kobitka.

— Jak pliska!

Jednak wszyscy we wsi wiedzieli, ze ta pliska wodziła we wsi Walka za nos, jak chciała. Sama mądrości nie miała wiele, ale tak jakoś sepleniła, bo była scyrbata, ze Walek słuchał jej we wszyćkiem. Dobry był, ustępliwy, i sprzeciwiać mu się nie chciało. Bo i po co? I wysło na to, ze Walek świniom jeść dawał i nawet krowy doił, a Magda to na kumoski z dzieckiem poleciała i całymi godzinami z niemi chichotała, to do ojców posła na drugą wieś na dzień i dwa. A potem, choć i w domu siedziała, to pod błachym pozorem Walka wysyłała do babski roboty.

Śmiały się ś niego chłopy i padały:

— Walek, takiś wielgi, a prawdziwaś baba.

— Bez co? Krowy dois i jesce się pytas.

— Takze tez wita! — wtrącił drugi. — Zeby to ino krowy doił! Som widziałem kiejsik jak za stodołom kury macał, a Magda stała zdaleka i pytała się, cy ma jajka, cy nie.

Chłopy wybuchnęły śmichem. Walek pocerwieniał trochę od wstydu, ale się roześmiał ino i odparł:

— Łzes, jucho, śmiśniku!

— Prawdę mówię, chłopy, ino mu się wstyd przyznać!

— A chocbym macoł, to grzych, cy co? Albo to wstyd jaki?

— To mozebyś i u mnie pomacał, bo moją Józefkę palicę bolą — odciął tamten.

Walek odwinął garście i zamierzył się na mówiącego.

— Mogę ci plecy pomacać!

Dowcipniś odskocył na takie gadanie daleko, bo wszyscy wiedzieli, co to Walkówa pięść znacy. Siedział on za swoją siłę juz w hareście, bo mało leśnego nie zabił, gdy posło o Magdę. Magda była bowiem wielka chichotka i chłopaków się nie bojała. To tez, gdy raz pod nieobecność Walka przysed leśny do chałpy i zacął się brać do łaskotek, Magda się nie broniła, ale zacęła scyrzyć zęby. Na to niespodzianie przysed Walek i tak prasnął w łeb garścią leśnego, ze ten się zatocył i pad na ziemię zafarbowany juchą. Odtąd nikt go juz nie napastował, a Magda, choć jamornica była wielga, unikała okazji do grzychu.

Zyli odtąd w zgodzie, rok w rok powiększając swoją rodzinę. Ale i to się ludziom nie podobało.

— Walek, to chyba nie Magda urodziła dziecko? zacepiali go.

— Ino chto?

— Kazby taka dziusyna tyle nastarcyła!

— A widzis, dziusyna, ale zuch — odcinał się Walek — potrafi, potrafi, niema strachu!

— A kiej mówią, ze ostatnie to ty urodziłeś.

— He, he! — zanosił się od śmiechu Walek — śmiśnik jucha. A bez co to ja urodziłem?

— Kury macas, to i dzieci chyba rodzis!

Z jednem tylko miał Walek wielgi kłopot, bo papirusy palił, a Magda mu nie dawała piniędzy na tutoń. Powiadała mu, ze skoda grajcarów z dymem puscać, bo ich potrza tyle na dom, na odzież i tak dalej. Przyznawał jej rację, ale palić mu się chciało, a ona mu wszyćkie pieniądze chowała. Co było robić! Walek więc to konicynę kopcił, to z liści grochowych papirusy kręcił, to casem i łajno końskie w papirek zawinął, aby się ino dymem zaciągnąć.

Miały i z tego chłopy śmich. Biedacysko wyglądał niedzieli z niecierpliwością, bo wtedy było łatwiej od kogo wygłasakać prawdziwego tytoniu. Najcęściej udawał się wtedy na paświsko do gromady pastuchów, którzy znali Walka słabość. Padali więc:

— Walku, zapalilibyście?

— Cemu nie? Ino dej!

— Dom, ale wicie co? Dostaniecie papirusa, jak polecicie w dyrdy pod las i nazod!

— Polecieć, polecę, ino dej dwa! Widzis, Jasiek, widzis, — przymawiał się do smarkacza — w tamtę stronę jeden, a nazod jeden!

— Niechta, niech stracę!

I Walek, gospodarz na dziesięciu morgach, ojciec cworga dzieci, drałował przesło półtora kilometra przez pola i rowy, aby ino papirusa zarobić.

Wzięli go na wojnę i tam zginął, zasiekli go Moskale.



Szczęście.

Szukając szczęścia na ziemi, na niebie,
Pytałem lilję, czy ona szczęśliwa?
Patrz — rzekła — biała szata mię odziewa...
Niewinność szczęścia nigdy nie pogrzebie!

Pytam się róży: Gdzie twe szczęścia zdroje?
Pojąc się — mówi — boską rosą zrana,
Ozdobna w krasę i szczerze kochana,
Roztaczam woń swą; oto szczęście moje!

A ty ptaszyno, skowronku maleńki,
Powiedz mi, powiedz, czyliś ty szczęśliwy?
Na to skowronek. Gdy wzlecę nad niwy,
Radością moją i szczęściem... piosenki!

Pytałem zdroje czystego strumyka,
Potem się szmeru pytałem wietrzyka:
Czyście szczęśliwi w swojej życia drodze?
Rzekły mi: Tak jest! ja poję — ja chłodzę!

A nasze szczęście na czem się zasadzi?
Pytajmy serca, ono nam doradzi:
Powiedz, ach, powiedz! w życiu, czy w marzeniu?
Serce szepnęło: w pracy poświęceniu!

Franciszek Marzec.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO.

W 133 rocznicę przysięgi na Rynku krakowskim i bitwy pod Racławicami.



I.

Słońce wytoczyło swój rydwan złocisty na cichy i pogodny lazur wiosennego nieba. Ponad szaremi polami odezwała się skowrończa pieśń — pieśń nowego życia przyrody, pieśń wiosny... Gdzieniegdzie z pośród szczupłej jeszcze trawki wychylały swe maleńkie główki pierwsze kwiatuszki, mrugając nieśmiało i wstydliwie do roześmianego słońca.

Wszędzie czuć ożywczą woń, bo oto idzie królewna Wiosna w pełni swojego majestatu, w powiewnych szatach z mgiełek opalowych, w djademie tęczowym na czole.

Gdzie rączkę swą cudną położy, tam nowe powstaje życie, gdzie wionie swym ciepłym oddechem, tam lody pancerne zamieniają się w strumyki i rzeki...

O takiej to porze wieśniak już miejsca w chacie nie zagrzeje, zaprzęga bowiem do pługa, by krajać tę ziemię ojczystą, by siać w nią chlebodajne ziarno, użyźniać ją swym potem. Bo on tę ziemię kocha, on wie, że to jego żywicielka, on wie, że tu spoczywają kości jego dziadów i pradziadów, gdzie i on po skończonej wędrówce życiowej spocznie na wieki...

II.

Dzień 24 marca roku 1794.

Jakoś pusto na polach, jakoś cisza uroczysta zaległa w około, nie słychać zgrzytu pługów na roli — nie słychać pieśni nabożnej rolnika idącego za pługiem, jeden tylko skowronek czemuś się cieszy, wzbiwszy się pod obłoki, po raz setny, piosenkę swoją zaczyna...

A lud odświętnie przystrojony jakby na jakieś wielkie Święto, ciągnie wszystkiemi drogami, miedzami i opłotkami w mury Wawelskiego Grodu. Czerwone czapki migają jak kwiaty maku, rozsianego po łanie złocistym, gdzieniegdzie mignie kontusz szlachecki, lub karabela o twardy zadzwoni kamień — to pan włości i dziedzic licznych wsi spieszy wraz z tymi, co jego prawom podlegali, by wspólnie ramię obok ramienia stanąć na rynku Krakowskim...

Bo oto dziś świetlana postać Tadeusza Kościuszki pragnie wydźwignąć Ojczyznę z niewoli, pragnie powrócić świetność imienia Polaka — samodzielność Narodu; przywraca wolność ludowi wiejskiemu i powiada, że kto walczył będzie w jego szeregach, ten wolny od pańszczyzny będzie i tak się też stało. Chłopi garną się dzielnie do rozprawy z Moskalem, z tym odwiecznym wrogiem wiary katolickiej i Polski.

Kościuszko pierwszy uczynił tego zapomnianego i nieznanego nigdzie chłopa, rycerzem sprawy narodowej i wolnym synem Ojczyzny...

III.

Na rynku Krakowskim rojno i gwarno.

Nieprzejrzane tłumy zalewają Rynek — a jeszcze coraz to nowi przybywają, wszystko z rozjaśnionem czołem, pogodną myślą i ochotą w duszy.

Z wieży Marjackiej ogłosił trębacz hejnałem godzinę jedenastą...

Na rynku ustawiły się dwa bataljony wojska polskiego, frontem do Sukiennic i kościoła Marjackiego.

Ucichły gwary na słowa komendy wojskowej, bo oto od strony ulicy Florjańskiej pokazał się wódz Tadeusz Kościuszko w towarzystwie Wodzickiego i Linowskiego.

Czerwone czapki chłopów podniosły się raptownie do góry — a z silnych piersi wyrwał się gromki okrzyk: „Niech żyje Naczelnik Kościuszko!"

Okrzyk ten podjęli inni, a echo jego płynęło daleko... daleko — na całą Polskę!...

Kościuszko blady ze wzruszenia dziękował zgromadzonemu ludowi w około, skinieniem głowy i uśmiechem, w którym przebijała dobroć, prawość a nadewszystko rycerskość!

Kiedy Kościuszko zbliżył się do żołnierzy ustawionych w czworobok, padły gromkie komendy: „baczność! Prezentuj broń!" a dobosze stojący za frontem uderzyli pałeczkami w bębny. Nadszedł moment odebrania przysięgi od wojska, które patrząc w twarz przyszłego — a już ukochanego wodza — śmiało i głośno słowa jego powtarzało...

I znów cisza zaległa rynek Krakowski...

Wódz dobywszy miecza z pochwy, wzniósł oczy do góry, kładąc dwa palce lewej ręki na zimnej stali... przysięgał Bogu w Trójcy świętej Jedynemu i całemu Narodowi Polskiemu, że powierzonej mu władzy użyje tylko do pokonania wrogów i odzyskania niepodległości Polski!

IV.

Poszły zastępy uzbrojone w strzelby i piki, a głównie w kosy na bój — na bój święty za wolność Ojczyzny, za prawa człowieka. Wiódł ich Kościuszko...

O świcie nadciągnięto pod Racławice — a kiedy złote zorze uśmiechnęły się do wonnych pól — kładły pocałunki ogniste na czerwonych czapkach kosynierów, złocąc — na sztorc postawione kosy... huknęło jak gromem dwanaście paszcz armatnich moskiewskich... Zawrzał bój straszny, bój olbrzymiego Goljata z wątłym na pozór Dawidem.

Lecz ten ostatni zwyciężył... Wojciech Bartosz z Rzędowic ze swoimi na czele zdobył dwanaście armat.

Bitwa skończyła się pomyślnie dla nas i zwycięsko. Kościuszko mianował Bartosza za ten czyn bohaterski chorążym grenadjerów krakowskich, oraz szlachcicem z przydomkiem Głowacki.

. . . .

Dziś mija 132 lat od owego czasu. W proch rozsypały się bohaterów kości z pod Racławic, lecz pamięć o nich nigdy wśród nas nie zaginie!

Tadeusz Kościuszko urodził się 12 lutego 1746 roku w Mereczowszczyźnie — zmarł dnia 15 październikа 1817 r., przeżywszy lat 71, w Solurze w Szwajcarji.

Drogie jego zwłoki sprowadzone zostały w roku 1818 do Krakowa, do grobów królewskich i spoczywają obok Poniatowskiego iSobieskiego na Wawelu.

W roku 1820 postanowił Senat Rzeczypospolitej sypanie kopca Kościuszki, co też Naród polski przyjął z całem uznaniem i kopiec rósł z dnia na dzień, coraz szerzej i wyżej.

Wewnątrz kopca znajduje się marmurowa urna z ziemią Maciejowicką, którą nadesłała księżna Izabela Czatroryska galarem po Wiśle do Krakowa.

Kopiec ma 80 m. w podstawie, a jest 34 m. wysoki.

Robert Rydz.

Witaj „Rolo!"

Witaj »Rolo« ukochana
Tyś dla chłopa i dla pana,
Ciebie każdy czytać może
Co na »Roli« sieje zboże.

Witaj, Panie Redaktorze,
Niech ci Pan Bóg dopomoże,
Żebyś »Rolę« tak uprawił,
Byś przyjemność wszystkim sprawił.

Witaj, Panie Kowalczyku,
Choć trudności masz bez liku,
Fundusz szczupły, serce boli,
Lecz się zmieni to powoli.

Witaj zastępie kochany,
Coś do »Roli« powołany,
Wszyscy przyboczni pisarze
I zecerzy i drukarze.

Witaj pracowników gronie,
Co wam »Rola« w sercu płonie,
Nie żałujcie trudów, siły,
»Rola« da wam owoc miły,



Witaj Maciusiu kochany,
Dawno Bzdurą już nazwany;
Panny cenią cię wysoko,
Robią do cię perskie oko.

Witaj Poeto nieznany,
Co miłujesz wszystkie stany,
Choć w krytycznej nieraz doli
Piszesz wierszyk swój do »Roli«.

Witaj Polski biedny ludu,
Co na roli pośród trudu
Krwawo grosz swój zapracujesz,
Wesprzeć Roli nie żałujesz.

Witaj kochana młodzieży,
Wspieraj »Rolę«, jak należy,
Odrzuć hasła niepotrzebne
Znajdziesz w »Roli« szczęście pewne.

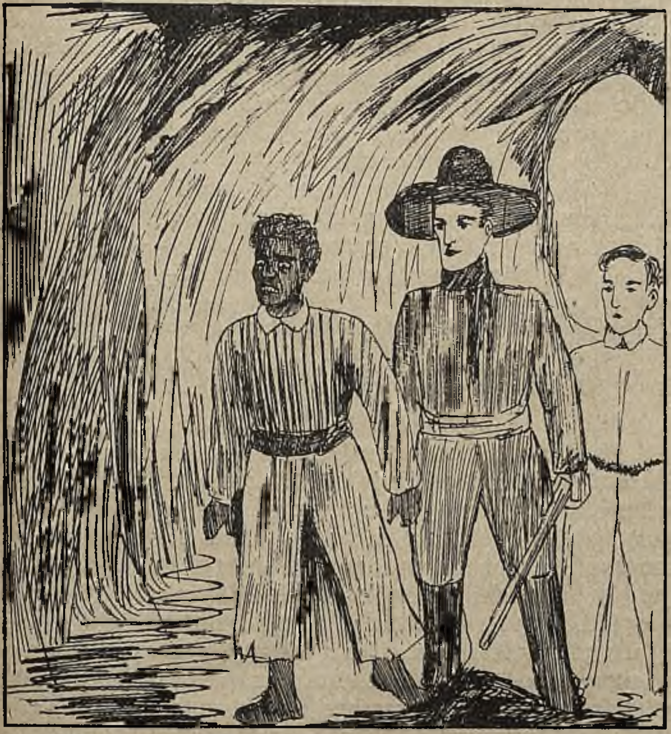
Witaj Czytelniku zdala
Z całej Polski i z Podhala,
Góral śle wam w ciężkiej doli
Powitalny wiersz do »Roli«,

Józef Morawa.

Wśród puszcz i stepów.

W godzinę później trzej wędrowcy puścili się w drogę i szli nie zatrzymując się do samego wieczora. Dik nie ustał ani na chwilę, znać było jednak, że szedł z największym wysiłkiem. Wieczorem jadł bardzo mało, nie skarżąc się na żadne cierpienie, położył się i zasnął, lecz sen jego był nadzwyczaj niespokojny. Serce prawe kilka razy zbliżał się do niego, dotykał ręką jego czoła i smutnie kiwał głową.

— Będziemy musieli podróż przerwać na czas dłuższy — szepnął do murzyna, który także czuwał



Trzej wędrowcy puścili się w drogę.

jeszcze — Dik na dobre zachorował, ma silną gorączkę.

— Czy to niebezpieczna choroba? — spytał Cezar niespokojnie.

— Nie sądzę, teraz przynajmniej niema jeszcze żadnego niebezpieczeństwa. Żałuję jednak niezmiernie, że chłopak nie może iść dalej, choćby tylko przez dzień jutrzejszy.

— Dlaczegoż przez dzień jutrzejszy? Cóżby nam stąd przyszło?

— Bo o dzień drogi od tego miejsca mam w tej puszczy małą twierdzę, leżącą w takiej okolicy, gdzie w razie potrzeby możnaby bardzo wygodnie na czas dłuższy zamieszkać.

— Żebyśmy tylko mogli dojść do tej twierdzy; bo to kłopot straszny z tą chorobą Dika.

— Jabym go mógł doskonale zanieść na plecach do tej fortecy, proszę pana — mówił Cezar.

— Wiesz co, to myśl wcale nie zła — odrzekł myśliwiec — na plecach nie pozwolę ci dźwigać chłopca, ale zrobimy nosze z gałęzi i we dwóch go zaniesiemy; to nas zbytecznie nie zmęczy.

— O! jakże to pan wyśmienicie wymyślił! tak, tak, na noszach go zaniesiemy — wołał Cezar uradowany.

Myśliwiec zabrał się niezwłocznie z pomocą murzyna do sporządzenia noszy. Niewiele to czasu zabrało; poczem ułożywszy chorego na miękiej pościółce z mchu i liści, wzięli nosze na plecy i poszli dalej. Jakkolwiek pośpieszali o ile tylko mogli, nie zdołali jednak z takim ciężarem dotrzeć tego samego dnia do owej twierdzy. Dopiero nazajutrz w godzinach porannych przybyli do prześlicznej, malowniczej okolicy. Porozrzucane tu i ówdzie skały o kształtach dziwacznych podnosiły jeszcze urok krajobrazu.

— To miejsce — mówił Serce prawe — należy do najrozkoszniejszych, jakie mi się w życiu napotkać zdarzyło.

Cezar i Dik napróżno szukali wzrokiem owej bezpiecznej twierdzy. Widząc to Serce prawe zbliżył się z uśmiechem do niepozornej skały i uniósł w ramionach ciężką płytę, która zasłaniała wąskie wejście do podziemi.

— O! cóż to za wyborna kryjówka — wykrzyknął murzyn zachwycony.

— Nieprawdaż? — odrzekł tamten, ale chodźże tu bliżej i obejrzyj dokładnie moją twierdzę.

Cezar nie czekał powtórnego wezwania; schylił się i na czworakach wpełznął do ciasnego przejścia, które jednakże bardzo prędko rozszerzać się zaczęło, tak, że murzyn po chwili mógł się wyprostować. Przejście to prowadziło do obszernego i wysokiego podziemia; nie było tam zupełnie ciemno, gdyż w ścianach skały ukazywały się liczne szczeliny, wpuszczające do wnętrza światło dzienne i świeże powietrze. Otwory te mogły w potrzebie służyć za strzelnice, a tym sposobem kryjówka ta rzeczywiście zasługiwała na nazwę twierdzy.

W kącie na grubej warstwie miękkiego mchu leżało kilka przepysznych skór niedźwiedzich i tygrysich, a obok nich duża kołdra wełniana, rozesłana na ziemi.

— W tem rozkosznem mieszkaniu Dik niezawodnie za dni kilka przyjdzie do zdrowia — rzekł Cezar.

— I ja tak myślę — odrzekł myśliwiec — ale on tam biedak sam został; pójdźmy po niego i wprowadźmy go do tego wspaniałego apartamentu.

Mówiąc to poszedł w najodleglejszy kąt jaskini, podniósł siekierę i ostrze jej wbił w małą, prawie niewidzialną szparkę w ścianie. Za pociśnięciem otwór się powiększył, kamień, zastępujący drzwi, przesunął się na bok i ukazało się ciemne, wąskie przejście.

— Cóż to za pyszny zamek obronny! — wykrzyknął Cezar z zapałem — sądzę, że ta droga nie będzie zbyt uciążliwa dla Dika.

— I mnie się tak zdaje — mówił myśliwiec, przeciskając się wraz z murzynem przez zarośla i zbliżając do miejsca, gdzie chory chłopak spoczywał na noszach. Nie bez trudności biedny Dik dowlókł się przez ciemny korytarz do podziemia; zmęczony i zdyszany padł na wygodne posłanie, gdzie usnął niebawem. Sułtan śmiało poszedł za swoim panem i legł przy nim na ziemi. Serce prawe tak starannie ułożył kamień ruchomy na swoje miejsce, że najbystrzejsze oko nie zdołałoby dopatrzeć nieznacznej rysy, oddzielającej go od reszty skały.

Wypocząwszy nieco, Serce prawe wyjął ze szczeliny skały, służącej za schowanko, drabinkę sznurową z mocnych roślinnych włókien, wyszedł na dach swojego mieszkania, to jest na skałę i do ostrego jej cypla uczepił jeden koniec drabinki, drugi zaś spuścił na ziemię. Następnie obejrzał starannie Dika; nie musiał być jednak zadowolony ze stanu chorego, bo

czoło jego zasępiło się, i wyraz niepokoju ukazał się na twarzy.

— Tak mi się pić chce — szepnął Dik.

— Jak to dobrze, że źródełko tak blisko — rzekł Cezar chwytając wiadro i śpiesząc po wodę.

— Jak będziesz miał ochotę — rzekł myśliwiec do Cezara — to nalej więcej wody w stągiewkę. Mamy tu w fortecy dostateczną ilość żywności, trzeba więc pamiętać, aby i wody nie brakło.

— Oho! czy to pan obawia się może napadu Indjan w tem pustkowiu? — zapytał Cezar.

— Kiedyś tu byłem już oblężony przez Osagów — odpowiedział Serce prawe — musiałem się w końcu poddać. Osagowie nie uczynili mi zresztą nic złego, przeciwnie, stali się najlepszymi, najwierniejszymi przyjaciółmi moimi.

— O! żebyś to pan opowiedział, jak to było!

— Później kiedyś, gdy będę swobodniejszy, a wy obaj z Dikem słuchać zechcecie, opowiem wam różne ciekawe swoje przygody. Teraz, ponieważ liczba mieszkańców się zwiększyła, muszę więc niezwłocznie wybrać się na polowanie, by przynieść jaką większą zwierzynę, której mięso wysuszymy na słońcu. Powrócę niezadługo; w tej okolicy jest mnóstwo zwierzyny, a ponieważ oddawna tu nie byłem, więc i lękać się zbytecznie nie będzie.

Przewidywanie myśliwca sprawdziło się w zupełności; nie upłynęła i godzina, a już powracał z polowania, niosąc na plecach ogromnego, tłustego jelenia. Serce prawe zastał Dika samego; chłopak był niezmiernie smutny i przygnębiony.

— Czy cię tak mocno głowa boli? — spytał myśliwiec ze współczuciem — czegoś się tak zasępił?

— Jakże ja nie mam się martwić — rzekł chłopak — nie dość, że tu leżę bezczynnie, jeszcze i Serce prawe, i Cezar, muszą przy mnie czas tracić, zamiast śpieszyć na pomoc mojej nieszczęśliwej siostrze.

— W tem rzeczywiście masz słuszność, to bardzo przykry zbieg okoliczności. Możnaby jednak poradzić i na to. Właściwie niema żadnej potrzeby, byście wy obaj z Cezarem towarzyszyli mi w podróży do Osagów. Otóż byłoby najlepiej, gdybyś tu został z Cezarem w tej bezpiecznej i wygodnej kryjówce. Poczciwy murzyn troskliwie cię dopilnuje, póki nie wyzdrowiejesz; — potem będziecie sobie obaj wychodzili na polowanie i jakoś sobie czas zajmiecie do mego powrotu. Cóż, czy się na to zgadzasz?

— O, mój Boże! żeby tylko Cezar chciał tu ze mną zostać — rzekł Dik, widocznie uradowany.

— A gdzież to poszedł Cezar? — spytał Serce prawe.

— Poszedł z siekierą do lasu po suche drzewo.

— To dobrze, ten chłopiec o wszystkiem myśli. Ale zdaje mi się, że już powraca.

W rzeczy samej murzyn wszedł po chwili do podziemia.

— Cóż, czy przyniosłeś drzewa? — spytał myśliwiec.

— Rozumie się. Rozłożyłem je na słońcu, żeby jeszcze lepiej wyschło.

— Cieszę się niezmiernie, że jesteś taki roztropny i przezorny. Teraz posłuchaj mnie, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Postanowiłem was obu z Dikiem zostawić w tej bezpiecznej kryjówce, a sam podążę, nie tracąc czasu, do czerwonoskórych moich przyjaciół. Cóż ty na to powiesz?

— Cezar wolałby zapewne nie rozstawać się z ukochanym swoim panem, lecz rozumie, że inaczej być nie może.

— O! jakiż ja tu będę niespokojny, nim Serce prawe powróci — mówił chory chłopak.

— Starajcie się rozrywać o ile możności. Mam nadzieję, że choroba Dika nie potrwa długo. Obaj przecież umiecie polować, a Cezar obeznany jest z puszczą. Nie zapominajcie jednak o ostrożności, przedewszystkiem nigdy późnym wieczorem nie odddalajcie się od twierdzy. Okolica ta obfituje w zwierzęta wszelkiego rodzaju: można tu często napotkać, oprócz jeleni i żubrów, niedźwiedzi, pantery czarne, nawet niekiedy i jaguary. A na wypadek, wielce nieprawdopodobny, gdybyście spostrzegli Indjan w okolicy, zdejmcie tylko drabinkę ze skały i siedźcie cichutko w fortecy, wyglądając ostrożnie przez szpary. Byle tylko twierdza była zaopatrzona w żywność i wodę, możecie się w niej długo utrzymać. Nie dlatego mówię wam to wszystko, ażeby was straszyć, lecz przeciwnie, abyście zrozumieli jak pewne i bezpieczne jest to schronienie, a także, abyście żadnych środków ostrożności nie zaniedbywali.

Cezar i Dik przyrzekli najsolenniej wszystkie te przestrogi zachować w pamięci i polecenia wypełnić. Dnia następnego raniutko, przed wschodem słońca, Serce prawe puścił się w drogę. Pożegnanie było krótkie, lecz bardzo serdeczne.

— A teraz jesteśmy zupełnie sami — westchnął Dik, gdy szelest kroków myśliwca w przejściu podziemnem przestał być słyszany.

— Nie sami, bo Bóg jest z nami— pocieszał go murzyn.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zwiastunka śmierci.

(Prawdziwe zdarzenie).

Pewien właściciel majętności ziemskiej w Inflantach wyjechał przed wielu laty zimą w interesie do miasta Walk. Śnieg wysoko pokrywał ziemię, ale że przy panujących straszliwych mrozach zupełnie był zmarznięty, tor na śniegu był dobry. Szybko zatem sunęły saneczki, w których siedział nasz podróżny, po gładkiej powierzchni, a za temi saneczkami pędziły drugie, w których siedział sługa właściciela. I powietrze było czyste, a żadna chmurka nie zasępiała pogodnego nieba. Pewnego wieczora jednakże, gdy już podróżni znaczną część drogi przebyli, pokryło się niebo czarnemi chmurami, z których niezadługo gęsty śnieg począł padać na ziemię; nadto powstał wiatr gwałtowny i sprawił przykrą zawieję. Wskutek tej zawiei i zwiększającej się coraz ciemności podróżni niezadługo zboczyli z drogi i zabłądzili. Naokoło ani jednego nie ujrzeli światełka, któreby im wskazało ludzkie pomieszkanie, i tak błąkali się w rozpaczliwem położeniu, aż po kilku godzinach, gdy i zawieja nieco ustała, ku wielkiej ich radości zabłysło zdala światełko. Natychmiast skierowali się tam, ale nie zajechali, jak tego pragnęli, przed gospodę, tylko przed dom prywatny, i nie pozostało im nic innego, jak poprosić właściciela domu o gościnne przyjęcie. Zakołatali do bramy, którą też niezadługo otworzył sługa z latarnią. Temu przedstawili przykre swe położenie i kazali mu poprosić pana swego, aby im dał na tę noc przytułek. Sługa udał się do pana i niezadługo z nim powrócił. Był to dzierżawca folwarku, człowiek uprzejmy i miły, w najlepszych latach; przyjął zbłąkanych podróżnych po przyjacielsku, kazał koniom i saniom wygodne dać pomieszczenie, a gości w dom wprowadził. Służącego wprowadzono do czeladzi, a pana do schludnego i mile ogrzanego pokoju, gdzie go młoda, uśmiechnięta żona dzierżawcy serdecznie powitała. Zaraz odłożyła szycie, którem była zajęta, i zakrzątała się około kuchni,

aby zaspokoić potrzeby znużonych, przeziębłych i zgłodniałych podróżnych, tak że szczerze byli temu radzi, że do tak gościnnego zabłąkali się domu. Nie długo trwało, a podróżny był jak w domu, i rozgrzawszy się, zaspokoiwszy głód i pragnienie, gawędził z uprzejmymi gospodarzami przez cały wieczór. Przy sposobności rozmowy o zabłądzeniu i rozmaitych nieszczęściach podróży, opowiedział mu też gospodarz domu awanturę daleko większą i niebezpieczną, która mu się wydarzyła przed niewielu laty, i w dziwny sposób z obecną żoną go połączyła. Posłuchajmy tego opowiadania:

Nasz dzierżawca był przed swojem ożenieniem się plenipotentem (pełnomocnikiem) pewnego moskiewskiego szlachcica, którego posiadłości położone były na Białej Rusi, na prawym brzegu rzeki Dźwiny. Razu pewnego musiał zimową porą odbyć w interesie swego pana daleką podróż aż w okolicę Narwy. Kolei żelaznych w tych okolicach wtenczas jeszcze nie było, a że urządzenie poczt w Rosji bardzo było (i jest dziś jeszcze) niedostąteczne, i nie wszędzie, bo tylko pomiędzy głównemi miejscami handlowemi były komunikacje pocztowe, przeto wybrał się w drogę małemi, tylko w jednego konia zaprzężonemi saneczkami, w których sam powoził. W północnej Moskwie wiele jest jezior, pomiędzy niemi niektóre bardzo znacznych rozmiarów, a przy nadzwyczaj silnych mrozach, jakie w tych stronach panują, tak mocno wszystkie jeziora zamarzają i tak grubą i stałą pokrywają się warstwą lodu, że bez najmniejszego niebezpieczeństwa życia z największymi ciężarami można przez takowe przejeżdżać, co tem wygodniej da się uskutecznić, że po największej części mają jeziora te nizkie brzegi. To też dla skrócenia drogi przejeżdżają po tych jeziorach podróżni i kupcy w najrozmaitszych kierunkach, a nawet dla zmniejszenia trudów i niedogodności tych zimowych podróży, przez lody ogromnych jeziór niesłychanych mrozów północy, ustawiają z początkiem zimy na lodzie w pewnych odstępach małe domy zajezdne, wybudowane z drzewa, jak baraki. Przez jedno z takich jezior, Peipus, obejmujące 51 mil kwadratowych obszaru i ciągnące się nad granicą Inflant i właściwej Moskwy, prowadziła droga plenipotenta. Dojechał on do jeziora pod wieczór wśród gwałtownej zawiei i mroźnego wiatru, który od lodów jeziora prosto w twarz mu zawiewał. Podróż przeto przez jezioro była nadzwyczaj utrudzająca i niebezpieczna. Wskutek zawiei nie było można rozpoznać utorowanej drogi i przez głęboki śnieg trzeba było pchać się naprzód; w tym śniegu i przeciwko gwałtownemu wiatrowi krok za krokiem tylko koń znużony mógł postępować, podczas gdy plenipotent obok sanek brnął pieszo w śniegu. Z największą niecierpliwością rozglądał się wkoło, czy nie ujrzy światełka jednej z tych barak na jeziorze, do których z takiem upragnieniem dążył, ale naokoło gruba panowała ciemność. Coraz gwałtowniej srożyła się zawieja, coraz dokuczliwszym stawał się mróz; groziły wszystkie okropności nocy zimowej północnych krajów. Ale jak to często się zdarza, że w największej potrzebie zjawia się pomoc, tak było i teraz. Gdy koń i człowiek z wielką tylko trudnością posuwali się naprzód i już ze znużenia upadali, weszli niespodzianie na utorowaną drogę. Odetchnęli swobodniej, a nowa nadzieja wstąpiła do serca młodego podróżnego. I nie zawiódł się w swojem oczekiwaniu, bo niezadługo dotarł do jednej z barak zbudowanych na lodzie. Z niewymowną radością powitał światełko dalekie, jakoby gwiazdkę zbawienia, a gdy przed chatę zajeżdżał, doznawał tego uczucia, jak rozbitek, który na małej łódce po niezliczonych niebezpieczeństwach na wzburzonem morzu wreszcie do bezpiecznej wpływa przystani. Znużony i napół skostniały wszedł do nizkiej, słabo oświetlonej, ale dobrze ogrzanej izby gościnnej, w której zastał samego gospodarza. Ten był uprzejmy i usłużny, umieścił wraz z parobkiem swoim konia w stajni, rozniecił ogień na kominku, dołożył drzewa i zapytał, czegoby jeszcze gość sobie życzył. Plenipotent poprosił go przedewszystkiem, aby do izby wniósł jego rzeczy, dubeltówkę, która była nabitą, i pałasz, w Moskwie bowiem każdy podróżny winien się mieć na ostrożności, być uzbrojonym i zawsze do obrony życia przygotowanym. Gospodarz uśmiechał się i zauważył, że w jego domu gość może być bezpiecznym, ale ostatecznie wypełnił jego wolę, gdy tenże koniecznie się tego domagał. Wreszcie poprosił podróżny o wieczerzę i zapytał, czy będzie mógł przenocować. Gospodarz przyobiecał jak najprędzej wystawić smaczną i obfitą wieczerzę, na jaką tylko będzie się mógł zdobyć, i oświadczył, że daje gościom noclegi i ma wygodne łóżka, poczem wybiegł, aby wieczerzę przygotować. Tymczasem zjawiło się w izbie małe, dziesięcioletnie dziewczę i usiadło na stołeczku obok kominka. Dziewczynka miała miłe, przyjemne wejrzenie, ale bardzo nędznie była przyodziana, a na wynędzniałej twarzyczce były ślady nędzy i niedostatku. Gdy gospodarz wyszedł, zapalił sobie gość lulkę, chodził po izbie i wreszcie zbliżył się do dziewczęcia, chcąc z niem zawiązać rozmowę. Ale dziecko było nieśmiałe i jakoby przepłoszone, i na żadne jego pytanie nie dawało odpowiedzi. Gospodarz bardzo długo nie wracał, a podróżnemu zaczęło się nudzić. Głęboka cisza panowała w małej izbie; ale na dworze był wicher i gęste masy śnieg miotał o okna. Dziwnie przykre i posępne uczucie ogarnęło podróżnego, więc aby się tego uczucia pozbyć, począł żartować i igrać z dziewczątkiem, któremu to widocznie bardzo się podobało. Wskutek tego ośmieliła się nieco, stała się poufalszą i język się jej rozwiązał. Gdy na kilka obojętnych pytań odpowiedziała, zdawało się, że jeszcze coś ma na sercu i chciałaby to powiedzieć, ale zamilkła, bo gospodarz wszedł do izby i przyniósł wieczerzę, która się składała z wieprzowiny z kapustą i placka w rodzaju naleśnika. Na uprzejme zaproszenie gospodarza, zabrał się gość, który bardzo był zgłodniały, szczerze do jedzenia; gospodarz zaś zaraz się oddalił, aby — jak mówił — w górnej stancji przysposobić nocleg i wygodne posłanie. Dziewczynka zatem pozostała znowu jedyną towarzyszką podróżnego.

Plenipotent wziął dziecko do stołu, przytulił do siebie, pogłaskał i dał mu kilka kawałków owego placka, które ta biedna dziecina łakomie i z wielką rozkoszą zjadła, poczem poufale poczęła go głaskać po twarzy i szepnęła, oglądając się z trwogą na wszystkie strony:

— Tyś taki dobry, dajesz mi placka, a jednak musisz umierać!

Podróżny struchlał: byłby się nieomal udławił tym kęsem, który miał w ustach, a gdy o wytłomaczenie tych słów okropnych chciał zapytać, głos mu zamarł na ustach. Gdy znowu nieco oprzytomniał, wszedł gospodarz do izby.

Dziewczynka na widok gospodarza natychmiast trwożliwie cofnęła się do kominka, ale ten ofuknął ją szorstko i kazał jej natychmiast wyjść z pokoju, bo czas do łóżka, a matka na nią czeka. Z cicha płacząc oddaliło się dziewczę.

Gospodarz chciał się z gościem wdać w rozmowę, ale ten nie miał wielkiej ochoty do tego i aby upozorować przerażenie swoje, udawał, że się czuje chorym wskutek trudów podróży i przeziębienia; prosił więc gospodarza, aby go zaprowadził ną nocleg, zwłaszcza że już było późno. Zaraz też zabrał się gospodarz, ubolewając nad tą słabością; podróżny jednakże uważał, że jakkolwiek udawał uprzejmość i spółczucie, na twarzy jego przebijał się ponury wyraz podejrzliwości. Smutne dręczyło przeczucie podróżnego, gdy postępował za gospodarzem, który ze świecą i rzeczami jego szedł naprzód do górnej izby, gdzie było przygotowane miękkie wygodne posłanie, z pościeli mchem wypchanej.

Postawiwszy świecę na stole, życzył gospodarz gościowi dobrej nocy i polepszenia, i wyszedł z izby. Teraz miał podróżny czas zastanowić się nad zagadkowemi słowami dziecka. Całe zachowanie gospodarza podczas ostatniej swej bytności w izbie gościnnej, nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, że karczma ta była jaskinią mordercy, który się bogacił zabranemi rzeczami zamordowanych podróżnych; gospodarz albo takim mordercą być musiał, albo też stał w związku z bandą opryszków. Plenipotent począł teraz ze spokojem i przytomnością umysłu zastanawiać się nad tem, w jakiby sposób życie swe mógł ocalić. Ale trudna tu była rada. Zawieja wprawdzie tymczasem ustała, przerzedziły się chmury, poza któremi wyjrzał księżyc — była teraz jasna, pogodna noc zimowa. Pomyślał o ucieczce, ale ta była niepodobieństwem, bo chociażby był mógł wymknąć się z domu, który gospodarz niezawodnie mocno zamknął i zatarasował, nie było można pomyśleć o tem, aby w dalszą udać się podróż. Przez to byłby się właśnie zdradził, że wie, co go tu czeka, i byłby wystawiony na napad opryszków. Jedyne, co zdaniem jego można uczynić, było przepędzić noc na czuwaniu, mieć się na baczności, bronić się do upadłego, aby gdyby musiał umierać, życie jego jak najdrożej było opłaconem. Powziąwszy to postanowienie, myślał dalej nad sposobem swego ocalenia i na następujący wpadł podstęp.

Drzwi swej izby zamknął umyślnie z szelestem na klucz i wyjął tenże z zamka, poczem zasłonił dziurkę od klucza w zamku i zagasił świecę. Następnie przy świetle księżyca uwinął z poduszek łóżka wałek podobny do figury ludzkiej, ubrał go w swoje futro, wsadził na wierzch futrzaną swą czapkę i położył na łóżku. Sam zaś wziął nabitą swą dubeltówkę, obejrzał czy w porządku i stanął z nią obok pieca przy drzwiach, które gdyby otworzono, musiały go przed wchodzącymi do izby zasłonić. Tak oczekiwał w ostrożnem milczeniu i z bijącem sercem tego, co miało nastąpić. Długi jednakże czas upłynął, a nie pojawiło się nic podejrzliwego; musiało zdaniem jego już blizkie być rano i począł przypuszczać, że dziecko te złowrogie słowa wypowiedziało bezmyślnie i w głupocie.

Wtem usłyszał cichy szelest, jakoby przytłumione stąpanie zbliżających się po schodach osób. Wytężył więc swoją uwagę i stał cicho jak mur. Niezadługo też usłyszał, jak kroki do drzwi się zbliżyły i ktoś innym kluczem drzwi cichaczem otworzył. Dwie osoby weszły do izby; przy świetle księżyca poznał podróżny od razu gospodarza i parobka jego, który konia zaprowadził był do stajni. Podczas gdy parobek pozostał bliżej drzwi, zbliżył się gospodarz, który fuzją miał w ręku, z cicha na kilka kroków do łóżka, wymierzył i wystrzelił do figury leżącej na łóżku, którą uważał za gościa śpiącego. Ale też w tej samej chwili wystrzelił podróżny ze swej zasadzki do niego i nie chybił celu, bo gospodarz, z tyłu ugodzony, z głośnym jękiem upadł na ziemię i ducha wyzionął. Parobek uciekł przerażony. Niezawodnie sądził, że to duch jaki albo czary. Skoro tylko parobek zbiegł ze schodów, zamknął podróżny, który nie czuł się jeszcze bezpiecznym, drzwi, i zatarasował je i czuwał przy trupie gospodarza aż do rana.

Zaledwie się rozwidniło, usłyszał ku wielkiej swej radości głosy ludzkie przed domem, i szelest przejeżdżających sani; z okna ujrzał kilku woźniców moskiewskich, którzy z ciężko obładowanemi saniami zwolna przez lód jeziora się przeprawiali. Zawołał na nich o pomoc, a oni zatrzymawszy sanie, weszli do baraki, której drzwi zastali otwarte. Nie spotkawszy na dole nikogo, weszli do góry, do podróżnego, który na nich był zawołał; a ten pokazawszy im trupa, opowiedział im wszystko, co było zaszło. Natychmiast wszyscy razem przetrzęśli dom cały, ale nie znaleźli ani gospodyni, ani parobka, ani nawet dziewczynki, a plenipotent żałował szczerze, że jej, która mu życie uratowała, nie mógł swej wdzięczności okazać. Wreszcie jednakże znaleziono biedną dziecinę na pół zmarzłą i drżącą w stajni, ukrytą za kupą siana; ale gospodyni i parobka nie było — uciekli oni niezawodnie i nic już o nich nie słyszano.

Plenipotent wziął swą małą wybawicielkę w swoje objęcia i powiedział jej, że ją weźmie ze sobą i zastąpi jej miejsce ojca. Dziewczę się ośmieliło, mianowicie gdy się dowiedziało, że rodzice jej nie są już w domu, i z wdzięcznością i ufnością przytuliło się do swego opiekuna. Opowiedziała też, że gospodarz i gospodyni nie byli jej rodzicami, ale ją tylko wychowywali, że z nią się źle i okrutnie obchodzili i że już wielu podróżnych zamordowali, którzy w tej gospodzie szukali schronienia. Ona sama jest córką jednego z tych zamordowanych, a morderstwo, jakie przed rokiem na ojcu dokonano, opowiedziała z wszystkimi szczegółami. Ten był kupcem w Rydze i udał się z nią w podróż, aby odwiedzić krewnych w południowej Moskwie: nie ma też ani sióstr ani braci, a matka jej tak rychło zmarła, że jej wcale nie zaznała. Prócz tego opowiedziała szczegóły innych morderstw, dokonanych w tym domu, i pokazała w jednym zakątku domu otwór w jeziorze Peipus, w który ciała zamordowanych wrzucano.

Dreszczem przejęło wszystkich to opowiadanie, ale i spółczuciem dla nieszczęśliwej sierotki. Nie zabawili też długo w tem strasznem miejscu. Plenipotent zaprzągł swe sanki i zabrał sierotkę; jeden woźnica wziął na swe sanie ciało gospodarza, aby je w najbliższym złożyć urzędzie policyjnym, potem zburzyli do szczętu zbójecką gospodę i spólnie w dalszą udali się podróż. W najbliższem mieście oddano ciało, spisano protokół, a plenipotent zostawił sierotkę u znajomego aż do swego powrotu. Załatwiwszy interesa swoje w Narwie, zabrał w powrocie sierotkę do domu, gdzie pilnie robił poszukiwania za krewnymi dziewczęcia: ale nikt ich w Rydze nie znał, bo ojciec jej krótki tylko czas mieszkał w tem mieście, gdzie zaś było właściwe jej miejsce rodzinne, dziewczynka nie wiedziała. Plenipotent postarał się o staranne wychowanie i wykształcenie dziewczynki, która się odznaczała i niepospolitemi zdolnościami umysłowemi i szlachetnością charakteru i wdzięcznością dla swego opiekuna, a gdy wyrosła na piękną dziewicę, pojął ją za małżonkę. Teraz zaś dziękuje Opatrzności, która ludzi tak różnemi drogami smutnemi i grożącemi największemi niebezpieczeństwami do szczęśliwego prowadzi celu.



Poradnik gospodarczy.

Drzewa owocowe rozmnażamy przez uszlachetnianie, czyli szczepienie. Polega ono na osadzeniu na podkładce dziczka — cząstki drzewa szlachetnego, zaopatrzonej przynajmniej w jedno oczko, tak, aby dziczka i część szlachetna zrosły się ściśle i by tylko ta druga dalej się rozwijała. Przy szczepeieniu drzew owocowych pamiętać należy, aby wybierać odpowiednią i stosowną podkładkę dla danego rodzaju i odmiany i aby miazga (t. zn. to, co jest zaraz pod korą) części szlachetnej czyli zraza z miazgą podkładki tj. dziczki jak najdokładniej się stykała i aby wreszcie czynność szczepienia wykonać w odpowiednim czasie.

Szczepimy drzewka z wiosną do pierwszej połowy maja. Sposobów szczepienia jest kilka, ale podajemy tylko te, które każdy z łatwością może wykonać.

Zrazy, używane do szczepienia są to gałązki drzewa szlachetnego, wyrosłe w roku przeszłym. Gałązki te przezorny gospodarz powinien uciąć w czasie zimy, najpóźniej do końca lutego z drzewa zdrowego i dobrze rozwiniętego i to uciąć od strony południowej. Ciąć je należy w dnie pogodne i łagodne; zrazy ucięte powinno się przechowywać w miejscu cienistem, najlepiej w piwnicy od strony północnej, zadołowane w piasku.

Oczkowanie, to najłatwiejszy i najlepszy sposób uszlachetniania drzew owocowych. Do tego służą pędy, świeżo ucięte z drzewa. Najstosowniejszym czasem do oczkowania jest sierpień i wrzesień. Praca przy oczkowaniu polega przedewszystkiem na dobrem wycięciu oczka, a mianowicie dobrze wykształcone oczko wraz z listkiem zdejmuje się z części środkowej latorośli tegorocznej, ale takiej, żeby jej nie można zgiąć palcami. Tak wycięte oczko z częścią kory i miazgi wsuwamy pod korę dziczki, naciętej w kształcie litery dużego **T**. Zranioną gałązkę obwiązujemy łyczkiem, tak, aby oczko zostało wolne, ucinamy połowę listka i czynność skończona. Do dwóch tygodni oczko powinno się przyjąć, co łatwo poznać po tem, że ogonek z połową listka, pozostały przy oczku za lekkim dotknięciem odpada, a pączek troszkę nabrzmiewa. Teraz należy obwiązanie zwolnić, aby nie wrzynało się w korę. Z wiosną z zaszczepionego oczka rozwija się i wyrasta pęd szlachetny, który skierowujemy w górę, przywiązując go do przyciętego dziczka.

Łączenie ma zastosowanie przy szczepieniu drzewek wtedy, gdy podkładka i zraz są tej samej grubości. W tym celu dolną część zrazu ucinamy ukośnie, zostawiając dwa do trzech oczek. Takie samo ukośne cięcie robi się na podkładce i dokładnie się zastosowuje, uważając, aby miazgi razem się zetknęły. Potem obwiązuje się łyczkiem, smaruje ranę maścią, a w braku tejże rozrobioną gliną z krowieńcem. Górne oczko zraza ucina się. W miesiąc po przyjęciu należy obwiązanie zwolnić. Najlepiej przeszczepiać w ten sposób wiśnie, jabłonie i grusze. Wykonuje się to od początku marca do końca kwietnia.

Najczęściej spotykamy u nas szczepienie t. zw. w półszparę. Używa się tego sposobu szczególnie przy szczepieniu drzew starszych. W tym celu ścina się podkładkę lekko ukośnie, rozszczepia się po jednej stronie do połowy jej grubość i w szparę wkłada się zaostrzony klinowato zraz, tak aby miazga zrazu z miazgą dziczki dokładnie się stykały. Wiązanie jest tu niepotrzebne, wystarczy ranę zasmarować maścią. To szczepienie wykonuje się róknież w marcu lub kwietniu.

Śliwy i wiśnie najlepiej uszlachetniać przez kożuchowanie. Zraz, ucięty ukośnie, jak do łączenia wsuwa się pod korę podkładki równo ściętej, jak pod kożuch. Wykonuje się to, gdy kora łatwo oddziela się od drzewa, co ma miejsce przy końcu kwietnia i z początkiem maja. Jeżeli przy odchylaniu kory drzewka, ta pęknie, to nic nie szkodzi. Można dla pewności założyć zrazy 3—4 razy wokoło pieńka. Potem obwiązać rany i zasmarować maścią. Każdy sposób uszlachetniania jest dobry, o ile jest dokładnie wykonany. Dokładności przy szczepieniu nie można teoretycznie wytłumaczyć, ale trzeba szczepienie przerobić na gałązkach drzew nieszlachetnych, a nabrawszy wprawy, dopiero na właściwem drzewku wykonać.

Następnie podajemy bardzo tani, a dobry przepis na maść ogrodniczą, zwaną maścią prądnicką:

5 części żywicy (kalafonji) — 3 części białej smoły szewskiej (surowej białej żywicy) — 1 część łoju wołowego — 2 części ochry (ziemi czerwonej).

To stopić w garnku i wymieszać; po odstawieniu i wystudzeniu zlać do blaszanej puszki lub garnka, i maść gotowa do użytku. Jeżeli po dłuższym czasie zaschnie na niej skorupa, podgrzać i dodać trochę spirytusu.

Jan Matysik.

Drogi życia!



Czas upływa, czas wciąż leci,
Ginie, pada gdzieś w otchłani;
Nowy dzionek wciąż nam świeci —
A my idziem jak wygnani
Drogą życia do przystani.

Różne ludzie mają drogi
Przez tułaczkę życia swego.
Jako ludzki ród jest mnogi,
Tak koleje życia tego
Mają, każda coś innego.

Jedne proste i słoneczne
Wiodą ludzi ścieżką życia.
Są to jasne drogi mleczne,
Prowadzące przez rój kwiecia
Ludzi szczęsnych od powicia.

Tym się szczęście ciągle śmieje,
Twarz radością wiecznie błyska
I wesele wkoło sieje:
Cały człowiek życiem tryska
I każdego rad uściska.

Ale jakież są koleje
Tych zrodzonych na boleści!
Jakżeż dusza ich boleje!
Co cierpienia w nich się mieści,
Nikt nie spisze, ni nikt streści.

Ci stąpają, jak zaklęci,
Wiecznym smutkiem wciąż dręczeni
I z boleścią swą zamknięci,
Od niej samej już zgarbieni,
Na boleści Ci zrodzeni!

Idą, chwiejne stawiąc kroki,
Drogą twardą, wyboistą;
Idą, groźni jako mroki,
Z burzą w twarzy wyrazistą,
Idą, drogą swą ciernistą.

Dążym zatem różnym torem,
Jednym celem połączeni,
Aż nie zaśniem, idąc wzorem
Wszystkich ludzi, gdy znużeni
Idą spocząć w matce ziemi.

Władysław Grażyński.

Wiadomości polityczne.

Z senatu. W ubiegły poniedziałek senat zakończył obrady nad budżetem, który zmieniono tak, że obecnie wydatki wynoszą 1.989,593.410 zł., dochody zaś 1.990,997.942 zł. Nadwyżka dochodów nad wydatkami wynosi przeszło 1 miljon zł. Napozór zdawałoby się, że zmiany zaprowadzone przez senat zmniejszają o 2 miljony zł. nadwyżkę dochodów nad wydatkami. W istocie jednak tak nie jest, gdyż w sumie nieuwzględniono wyników finansowych noweli do ustawy o środkach naprawy równowagi budżetowej, które powiększają pobory nauczycieli gimnazjalnych o 2,872 tys. Jeżeli się to weźmie pod uwagę, to widać, że zmiany, które wprowadził senat zwiększają nawet nadwyżkę dochodów nad wydatkami w porównaniu z ustawą sejmową.

Z komisyj sejmowych. W poniedziałek obradowała sejmowa komisja administracyjna nad projektem ustawy o gminie miejskiej. Komisja przyjęła pierwsze trzy artykuły zawierające postanowienia ogólne a następnie po dyskusji postanowiono odesłać do specjalnej podkomisji dla opracowania wniosków następujące trzy sprawy: 1) Sprawę podziału miast na kategorje, przyczem za podstawę podziału ma być przyjęty projekt przedłożony przez związek miast. 2) Sprawę tak zwanych miast o własnym statucie, które rządziły się osobną ustawą odmienną od ustawy ogólnej. Miastami takiemi były: Warszawa, Lwów, Kraków, Poznań, Wilno, Lublin, Łódź i Bydgoszcz i 3) Sprawę podziału gmin miejskich i przyłączenia do niej gmin sąsiednich.

Zamknięcie obrad Rady Ligi Narodów. Ostatnie dwa dni obrad Rady Ligi Narodów, to jest piątek i sobota, poświęcone były załatwieniu dwóch najważneiszych spraw, a mianowiecie sprawy zagłębia rzeki Saar i sprawie szkół mniejszościowych na polskim Górnym Śląsku. Niemcy nakłaniali swojego ministra spraw zagranicznych, aby występował w obydwu sprawach jak najenergiczniej. Stresseman zastosował się do życzeń, mimo to poniósł na całej linji porażkę. Żądanie niemieckie w sprawie zagłębia Saary odrzucono, a postanowiono, że wojska okupacyjne zostaną wprawdzie w przeciągu trzech miesięcy usunięte, ale zostanie natomiast wprowadzony nowy system ochronny przez zabezpieczenie linji kolejowej przez ochronę wojskową.

Sprawa szkół mniejszościowych na Śląsku nie wypadła również po myśli Stresemanna, co było z góry do przewidzenia, jednakże nie przyniosła nam tego zwycięstwa, które nam się należało ze względu na niewątpliwą słuszność naszej tezy. Komisja trzech wypracowała kompromisowy wniosek, a kompromis polega właśnie na tem, że obie strony, spór wiodące muszą poczynić pewne ustępstwa. Na posiedzeniu Rady przemawiał Stresemann dwukrotnie w tej sprawie, zaś p. Zaleski w dłuższem przemówieniu zręcznie bronił tezy polskiej. Między innemi powołał się minister Zaleski na fakt, że kiedy Duńczycy w Szlezwiku za pomocą nacisku ekonomicznego zmuszali niemieckich rodziców do zapisywania swoich dzieci do szkół duńskich, premjer pruski oświadczył w sejmie, że podobne praktyki są nadużyciem. Na polskim Śląsku — mówił minister Zaleski — niemiecka mniejszość terorem zmusza dzieci polskie do uczęszczania do szkół niemieckich, co chyba jest nadużyciem.

Zgon prezydenta Łotwy. W ubiegły poniedziałek zmarł prezydent Łotwy Czakste.

Zawiadomienie.

Z powodu fałszywych wiadomości o wydawnictwie „Roli“, zamieszczonych w jednym z politycznych pism ludowych, w którym redaktor tego pisma, podpisujący się pseudenimem jakiegoś wójta, twierdzi, że „Rola“ założona i utrzymywana jest przez konserwatystów krakowskich, zawiadamiam Szan. Czytelników, że w wiadomościach tych niema słowa prawdy. „Rolę“ wznowiłem, jak to jest podane w Nr 1 z roku 1926, tylko swoim własnym funduszem, utrzymując ją z prenumerat, i prócz tych drobnych datków, które są potwierdzane w numerach „Roli“ nie otrzymałem na wydawnictwo znikąd ani grosza. Komunikaty zaś Związku Zaw. Rolników są to komunikaty płatne, chociaż skromnie. Napaść redaktora tegoż politycznego ludowego pisma na „Rolę“ — to zwykła metoda walki jego ze wszystkiem, co mu niewygodne. *Feliks Kowalczyk.*

KRONIKA.

Z organizacji rolników. Balice pow. krakowski. W niedzielę dnia 27 lutego b. r. odbyło się zebranie organizacyjne zawodowych rolników w sali domu ludowego w Balicach. Z inicjatywy miejscowego naczelnika gminy zgromadzili się najwybitniejsi rolnicy, którzy ze skupieniem uwagi i z wielkiem zainteresowaniem wysłuchali odnośnego referatu o potrzebie skupienia się zawodowych rolników w jednej wspólnej organizacji i o korzyściach płynących stąd i dla samych rolników i dla całego kraju, którego są podstawą. Po referacie uchwalono jednogłośnie utworzyć Okręgowy Związek Zawodowych rolników i wybrano zarząd.

Kraków. Dnia 4 marca b. r. z inicjatywy p. starosty Kłosowskiego, który. rozumiejąc doniosłe znaczenie jednolitej organizacji stanu rolniczego dla dobra kraju i narodu, do pracy organizacyjnej w powiecie krakowskiem odnosi się bardzo życzliwie, na zarządzonej przez niego sesji wójtów wygłosił insp. Lorenz referat o potrzebie i korzyściach zawodowej organizacji rolników. Wszyscy zebrani na sesji naczelnicy gmin pow. krakowskiego uznali jednogłośnie potrzebę zawodowej organizacji stanu rolniczego po wsiach, zażądali odnośnych statutów i przyrzekli poparcie i pomoc w podjętej pracy około zjednoczenia rolników. Wobec tego jest nadzieja, że powiat krakowski da dobry przykład sąsiednim powiatom i będzie w organizacji pierwszym i najczynniejszym, co mu się przecież z urzędu i prawa należeć powinno.

Rabka. Z Rabki piszą nam: Jak sprawa organizacji zawodowej rolników jest na czasie, jak ona jest dla naszego ludu wiejskiego aktualną i potrzebną świadczy o tem właśnie to, że sam ten lud pragnie zjednoczenia się i sam o taką organizację zabiega. Tak było właśnie w Rabce. Sami rolnicy tej parafji postarali się o urządzenie wielkiego zebrania w niedzielę 6 b. m. zaraz po sumie. W zebraniu wzięło udział kilkaset rolników z 6-ciu sąsiadujących z sobą gmin tej parafji i delegaci Pow. Zw. Z. R. z Nowego Targu. Po przemówieniu insp. Lorenza, przyjętego z całem uznaniem i nagrodzonego oklaskami przez wszystkich słuchaczy i po dyskusji na temat poruszony, uchwalono w pierwszym wniosku utworzenie Okr. Zw. Z. R. w samej Rabce dla całej parafji. Ponieważ jednak delegaci innych gmin oświadczyli, że jeżeli ma być jedność i siła ludu wiejskiego taka, jaka powinna być, to każda wieś polska musi być zorganizowana osobno i tworzyć zwarte koło

dla siebie, ażeby tem sprawniej działać, pracować i poruszać się w tej wielkiej ogólnej maszynie, jaką ma być organizacja rolników w całej Polsce, wobec tego przyjęto ten drugi wniosek i wybrano tymczasową komisję do przeprowadzenia dalszej organizacji.

Ohydny samosąd. W Listkowie, pod Łodzią, zaszedł ohydny wypadek samosądu. Niejaki Chomola zwabił do lasu Andrzeja Robakiewicza i tam, ubezwładniwszy go przy pomocy kilku przyjaciół, nawlókł końmi na pal.



Robakiewicz po kilkugodzinnych męczarniach zmarł. Oprawcę jego aresztowano. Przyczyną tej ohydnej zbrodni było to, że Robakiewicz zalecał się do córki miejscowego wójta, której Chomala był narzeczonym.

Porąbany siekierą. W Buszkowicach, położonych obok Przemyśla, żyło z sobą młode małżeństwo Krupów. Ona Marja, licząca lat 24 i on Wasyl o rok tylko od niej starszy. Zrazu żyli w zgodzie. Od niedawna zaczęło się coś między nimi psuć. Dochodziło do kłótni, parę razy została Marja przez męża dotkliwie pobitą. Trwało to dosyć długo. Przed paru dniami Wasyl, pracujący w cegielni, wrócił z roboty do domu i zażądał obiadu. Nie było go jeszcze jednak. Doszło do wyzwisk. Rozzłoszczony Wasyl począł rozbijać wszystkie znajdujące się w kuchni naczynia. Marja na widok niszczonego dobytku popadła w szał. Porwała leżącą w kącie siekierę i uderzyła nią odwróconego od niej awanturnika w głowę. Ten momentalnie stracił przytomność. To jednakże dobrej żonie nie wystarczyło. Zaczęła leżącego rąbać siekierą. Pokaleczyła mu ręce. nogi, porąbała plecy i byłaby go na kawałki pocięła, gdyby nie wejście do domu matki, która rozszalałą córkę oderwała od dającego słabe oznaki życia męża. Zjawiła się zaalarmowana policja. Dogorywającego Wasyla Krupę odwieziono do szpitala przemyskiego, sprawczynię zaś mordu zostawiono pod dozorem w domu, gdyż po strasznym czynie tak niebezpiecznie się rozchorowała, że jej aresztować nie było można.

Ulica marszałka Piłsudskiego we Lwowie. W uczczeniu zasług marszałka Piłsudskiego uchwaliła Rada miejska we Lwowie nazwać ulicę Pańską jego imieniem. Wniosek przeszedł głosami wszystkich klubów z wyjątkiem klubu Z. L. N.

Szajka oszustów kolejowych pod kluczem. Na linji kolejowej Warszawa-Dęblin wykryto całe „towarzystwo“, prowadzące oszustwa przy pomocy biletów kolejowych. W szczególności stwierdzono, że praktykowano na tym szlaku kolejowym przemycanie podróżnych o 50 procent niżej normalnej ceny biletów jazdy. Centrala towarzystwa, które pracowało nad ułatwianiem jazdy na „gapę“, jak za czasów carskich, mieściła się w Otwocku. Tu prowadził ją niejaki Meinemer z pomocnikami. Władze policyjne ujęły na razie 14 osób, które jadąc z Dęblina, miały przy sobie tylko bilety peronowe. Aresztowano również konduktora kolejowego.

Przedhistoryczne cmentarzysko. Podczas robót ziemnych w pobliżu krzyża Olszynki Grochowskiej, natrafiono na szczątki grobu przedhistorycznego, w którym znajdowała się urna z popiołem i szczątkami kości. O odkryciu dano znać profesorowi uniwersytetu warszawskiego Dr Antoniewiczowi. Według jego informacyj, odkopany grób należy do rodzaju t. zw. grobów kloszowych, t. j. pokrytych kopułą z gliny i pochodzi z piątego wieku przed Chrystusem. Znaleziona w grobie urna zachowała się bardzo dobrze. Wykonana jest z palonej gliny, gładka, bez żadnych znaków i ozdób. W urnie, prócz popiołu i szczątków kości, nie znaleziono ani ozdób, ani broni, chowanych zazwyczaj z prochami właściciela. Fakt ten, jak również rodzaj urny, każą przypuszczać, iż praojciec nasz, którego szczątki znaleziono, musiał być zwykłym biedakiem. Urnę umieszczono w muzeum archeologicznem im Erazma Majewskiego w Warszawie. Podobne urny znajdowali już Rosjanie w czasie budowy fortu na terenach Grochowa, do odkryć tych jednak nie przywiązywali żadnej wagi. Prof. Antoniewicz, przypuszczając, iż na terenie dawnej Olszynki Grochowskiej znajduje się cmentarzysko prahistoryczne, zapowiedział przystąpienie do systematycznych prac nad jego odkopaniem.

Zajście podczas rewizji w kawiarni. Z Warszawy donoszą: Urząd kontroli skarbowej, poszukując potajemnej rozlewni wódek na podstawie śladów przystąpił do rewizji w kawiarni Icka Drumlewicza przy ul. Namiestnikowskiej. Właściciel kawiarni, ujrzawszy policję i urzędników skarbowych, wyskoczył oknem na podwórze, złapał po drodze parę butelek, ktore rozbił na podwórzu i podniósł niebywały gwałt. Krzyki zwabiły tłum, składający się z około 300 osób. Tłum stanął po stronie Drumlewicza i przyjął wrogą postawę wobec policji i urzędników skarbowych. Komisarz policji, widząc, że zajście może przybrać niepożądany obrót, kazał zaprzestać chwilowo rewizji. Policja aresztowała 6 osób, głównych przywódców awantury.

Rozruchy w Żychlinie. Miasteczko Żychlin, w powiecie kutnowskim było ostatniemi czasy widownią burzliwych zajść, w czasie których bolszewizujące męty próbowały rozbroić policję i zająć magistrat. Sprawa poszła o zatarg policyjny, jaki miał ze starszym posterunkowym Janem Kubiakiem znany przywódca opryszków Kraska. Awantura zaczęła się od słów, przyszło następnie do strzałów rewolwerowych. W międzyczasie zgromadził się wokoło tłum opryszków i zaczął atakować policjanta kamieniami i kołami. Na pomoc policjantowi przybiegli jego koledzy. Tłum jednakże powiększał się tak znacznie, że policjanci musieli wycofać się na posterunek i bronić go przed zdemolowaniem. Na szczęście nadjechała samochodem wezwana telefonicznie pomoc policyjna z Kutna, która zdołała bez użycia broni zlikwidować awanturę. Zdawało się na moment, że nastąpi spokój. Tymczasem jednak kilku lżej rannych z pośród tłumu od płazowania szablami udało się do miejscowego lekarza po opatrunki. Lekarza nie było właśnie w domu. Tłum podburzony rzucił się więc na dom lekarza i zaczął go demolować. Z trudem udało się policji znowu bez rozlewu krwi rozpędzić awanturników. Aresztowano 14 osób.

Awantury bezrobotnych w Pruszkowie. W ubiegły czwartek wtargnął tłum bezrobotnych do magistratu miasta Pruszkowa, domagając się przyjęcia dele-

gacji bezrobotnych przez burmistrza. Bezrobotni zażądali pracy i doraźnego zasiłku pieniężnego w jak najkrótszym czasie, usunięcia z pracy tych robotników, którzy nie pochodzą z Pruszkowa, lub mają gospodarstwa rolne, oraz ścisłej kontroli przy angażowaniu robotników. Bezrobotni domagali się, aby żądania ich spełnione zostały do poniedziałku t. j. do 14 b. m. Po złożeniu tych deklaracyj, bezrobotni opuścili magistrat. Ponieważ policji szczupłe siły nie pozwoliły na stawienie oporu bezrobotnym, przeprowadziła więc później aresztowania, ujmując 8 osób. Jak się okazuje, zajścia w Pruszkowie spowodowane zostały tem, iż zarząd budowy miejscowej kolejki elektrycznej przy werbowaniu do pracy pomijał bezrobotnych z Pruszkowa, pomijał państwowy urząd pośrednictwa pracy, a brał ludzi jakich mu się podobało. Tłum złożony z kilkuset osób ruszył pod magistrat, zajął go i wśród wrogich okrzyków usiłował zdemolować biura. Ostatecznie burmistrzowi miasta, p. Ciechockiemu, udało się tłum uspokoić. Bezrobotni wyszli na ulicę i zaczęli atakować komendę policji. Policjanci zabarykadowali się wewnątrz budynku i przez dłuższy czas powstrzymywali napór tłumu. Tłum ruszył wobec tego ponownie pod magistrat i zajął go. Poraz drugi udało się burmistrzowi uspokoić bezrobotnych. Burmistrz zażądał od robotników pisemnego przedstawienia ich postulatów. Robotnicy zażądali zasiłków doraźnych, pracy i chleba, ponadto usunięcia z pracy tych robotników, którzy nie pochodzą z Pruszkowa, lub mają gospodarstwa rolne. Po przybyciu oddziału policyjnego z Warszawy aresztowano kilkanaście osób, które podżegały specjalnie do awantur. Zaznaczyć należy, że poza grupą awanturników tłum zachowywał się biernie.

Nieuchwytny bandyta. Na terenie województwa kieleckiego od roku już grasuje groźny bandyta Wilkas. Po ucieczce z więzienia zorganizował on szajkę bandycką i operuje nią tak sprytnie, że wszelkie pościgi są dotychczas bezskuteczne. Wprawdzie szajkę kilkakrotnie rozgromiono, jednakże wkrótce potem zbierała się ona na nowo i dalej uprawiała bandyckie rzemiosło. Sam Wiłkas zdobył sobie opinję nieuchwytnego bandyty, który zawsze umie wymknąć się z rąk władz. I tak w grudniu podczas obławy, urządzonej w Szydłowcu, posterunkowy Woźniak natknął się na rynku na Wiłkasa i już miał go w ręku, lecz bandyta strzałem rewolwerowym zranił posterunkowego w nogę i umknął. W dwa miesiące potem w Skarzysku pewien policjant, poznawszy Wiłkasa, uchwycił go w pół, lecz i tym razem bandyta zdołał się wymknąć, zraniwszy przedtem policjanta strzałami rewolwerowemi w pierś. W bieżącym już miesiącu komenda policji w Szydłowcu, dowiedziawszy się, że Wilkas uwija się w mieście i okolicy, urządziła na niego obławę. Zgłosił się do niej także posterunkowy Woźniak, mający z Wiłkasem dawne porachunki i wykazał wielką gorliwość w tropieniu bandyty. Przyjaciele Wiłkasa donieśli mu o tem a bandyta poprzysiągł krwawą zemstę Woźniakowi. Wykonał ją wkrótce. Gdy mianowicie Woźniak wracał onegdaj ze służby do domu i wszedł do bramy, nagle posypały się na niego z dwóch stron strzały rewolwerowe, które zraniły go w prawą rękę i powyżej kolana w lewą nogę. Napastnicy, wśród których był także Wiłkas, po dokonaniu swego czynu rzucili się do ucieczki. Woźniak, jakkolwiek ranny, miał jeszcze tyle siły, że strzelił dziewięć razy za uciekającymi, jednakże bez skutku. Wiłkas z towarzyszami uciekł. Stan ranionego jest bardzo ciężki i mała tylko istnieje nadzieja aby mógł być przy życiu utrzymany.

Nieludzka kara. Z jednej z holenderskich kolonij zamorskich donoszą o następującem zajściu. Niedawno temu urzędnik holenderski, odbywający przegląd swej okolicy, usłyszał jęki ludzkie. Pobiegł więc w stronę, skąd go jęki dolatywały i ujrzał do pnia przywiązaną starą kobietę wraz z dzieckiem sześcioletniem. Ciała obojga były jakby jedną raną, ciała ich obsiadły bowiem roje much i wszelkiego robactwa.



Urzędnik zabrał ich oczywiście zaraz z sobą i umieścił w szpitalu i postarał się o wdrożenie śledztwa, kto mógł się dopuścić tego okrucieństwa. Okazało się, że naczelnik plemienia na podstawie fałszywego oskarżenia skazał kobietę za rzekome czarodziejstwo na śmierć przez powolne pożarcie jej przez robactwo, co jest jedną z najstraszniejszych kar, jakie człowiek wymyślić może. Ażeby zaś karę przedłużyć i nie pozwolić osobie skazanej zemrzeć z głodu, odżywiano ją i pojono drobnemi ilościami. Ponieważ zaś mały wnuczek próbował uwolnić swą babkę przeto i jego, choć niewinnego, przywiązano, aby podzielił los swej babki.

Okropna śmierć robotnicy. W stodole dworu Eichenau w Münsterberg na Śląsku znaleziono zwłoki dziewczyny pogryzione przez myszy i szczury. Stwierdzono, że są to zwłoki 31-letniej Anieli Boy. Biedna dziewczyna nie mogła otrzymać pracy, gdyż odsiedziała karę w więzieniu za jakieś przestępstwo, przeto żebrała w okolicy. Robotnica owa, zmarła z głodu i zimna. Trupem jej żywiły się szczury i myszy!

Znowu trzęsienie ziemi. W Japonji nastąpiło w ubiegłym tygodniu wielkie trzęsienie ziemi. Według ostatnich wiadomości w Kioto zginęło 2.000 osób. W Minejama liczba ofiar wynosi 4.000 osób. Wszystkie sąsiednie wioski zostały zniszczone. Aeroplany wojskowe wysłano na miejsce dla prędszego zorjentowania się w sytuacji. Zerwanie przewodów telegraficznych i telefonicznych uniemożliwia napływanie wiadomości do władz centralnych. Tysiące wychodźców dążą wzdłuż linji kolejowej, oddalając się od miejsca katastrofy. W Kobe i w Ossaka pośród kolonji cudzoziemskiej nie było wypadków śmierci. Wzdłuż dróg leżą setki chorych i rannych, ponieważ dotychczas nie wszędzie dotarły jeszcze naprędce zorganizowane lotne oddziały ratunkowe. W całej Japonji otwarto subskrypcje na fundusz dla dotkniętych katastrofą. Jeden z dziennikarzy japońskich, który zwiedzał spustoszone miejscowości, twierdzi, iż przypominają one swym wyglądem części Francji, które były terenem zaciętych walk. Wszędzie widać zgliszcza i gruzy obalonych domów.

RZECZY CIEKAWE.

Pożar trwający 67 lat.

W Stanach Zjednoczonych istnieje kopalnia węgla „Summit Hill“, w której pożar szerzy się już od 67 lat, i nie bacząc na niesłychane wprost wysiłki dotychczasowe, połączone ze znacznemi ofiarami pieniężnemi — przeszło 3,000.000 dolarów — nie zdołano opanować go po dzień dzisiejszy. Zbytecznem byłoby chyba nadmieniać, że straty są olbrzymie, nieobliczalne bowiem ilości węgla spłonęły przez tyle dziesiątków lat w sposób najzupełniej nieprodukcyjny. Pożar ten, jak zresztą wiele innych, powstał na skutek drobnej nieostrożności, popełnionej w swoim czasie przez jednego z robotników. Górnicy mieli dawniej zwyczaj ustawiać w głębi szacht, koło wejścia do windy, małe piecyki węglowe, które oddawały im najrozmaitsze przysługi. Pewnego dnia robotnik, mający obowiązek czyszczenia piecyka, wytrząsnął zeń popiół do drewnianego wózka, nie zauważywszy tlejących jeszcze kawałków węgla. Wózek pełen śmieci i wszelkich odpadków, odstawiony został do podziemnej remizy, znajdującej się na końcu długiego korytarza, skąd zabierano go zazwyczaj dopiero po upływie dwóch tygodni. Gdy w oznaczonym dniu udali się robotnicy do remizy po wózek, spostrzegli ku największemu przerażeniu, że całe rusztowanie drewniane tej części korytarza stoi w płomieniach. Zamurowano niezwłocznie ten odcinek, spodziewając się tym sposobem stłumić pożar, ogień jednak przedostał się do warstw węglowych i od tego czasu szerzy się z niepohamowaną siłą, czyniąc wszelką akcję ratunkową nadaremną. Towarzystwo eksploatujące tę kopalnię, zwracało się już wielokrotnie do uczonych, inżynierów, chemików etc., przyrzekając wysokie nagrody za opanowanie niszczącego żywiołu, żadne jednak usiłowania nie dały dotychczas pomyślnych wyników.

Ile słów znacie w języku polskim?

Kto z was wie, ile jest słów w mowie polskiej, albo w języku polskim? Czy jest osoba, któraby na to pytanie mogła dać odpowiedź pewną? Ile słów z języka polskiego znasz Ty, czytelniku? Iloma słowami posługuje się człowiek przeciętny w życiu codziennem?

Pytania interesujące, nie prawda? A na nie odpowiemy wam my sami, że nikt nie wie dokładnie, ile jest słów w mowie polskiej albo w języku polskim i nikt nigdy wiedzieć nie będzie, ponieważ język polski należy do żyjących i bezustannie powstają w nim nowe słowa, nowe zwroty, tak, że nikt nie jest w stanie ich zliczyć — jak nikt nie byłby w stanie zliczyć ziarnek piasku na brzegu morza, gwiazd na firmamencie, albo ile jest kropli wody w morzach. Różni lingwiści powiadają, że język angielski, uważany powszechnie za najbogatszy, posiada przeszło pół miljona słów. Ale pierwszeństwo to językowi angielskiemu niesłusznie jest przyznawane, gdyż zdaniem bardzo wielu znawców język polski jest o wiele bogatszy nietylko w same słowa, ale w formy przeróżne, których w bardzo niewielu innych językach znaleść można. Oczywista, że niemożnością jest, aby jeden człowiek znał te wszystkie słowa i zwroty języka polskiego. Byłoby to nad siły ludzkie. Ale każdy z nas powinien znać tyle słów polskich, aby mógł rozmówić się inteligentnie z innym Polakiem, chociażby więcej wykształconym.

Powiadają, że człowiek wykształcony i dobrze „oczytany“ rozumie i jest w stanie określić prawdopodobnie przeszło 50.000 słów, ale w mowie potocznej lub w piśmie nie posługuje się więcej niż 15.000 do 20.000 słowami. Osoby zaś czytać nieumiejące, ale odznaczające się dobrą pamięcią, znają najwyżej 5.000 słów. W mowie potocznej zaś posługują się najwyżej 2.000 słów. Znajomość większej liczby słów danego języka zależy w znacznej mierze od zajęcia osoby. Rzemieślnik, naprzykład, posiada znajomość więcej słów z swego rzemiosła, których człowiek przeciętny nie zna. Tak samo ma się rzecz z doktorem, rolnikiem i t. d.

Ale chociaż nie każdemu są one znane, nie oznacza to, że nie naszą rzeczą jest poznawać. Przeciwnie, każdy powinien uważać sobie za obowiązek poznać przedewszystkiem język swój własny, zanim rozpocznie się starać poznać języki obce.

Wzbogacić zaś można swój język tylko przez czytanie i zastanawianie się nad tem, co się czyta. Książki polskie można nabywać tanim kosztem, na zakupno dobrej i pożytecznej książki polskiej stać powinno każdego. *(d)*

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 marca b. r.

Pszenica	53·50—54·50	Słoma długa	5·00— 6·00
Żyto	40·50—41·50	Ziemniaki stoł.	0·00—00·00
Owies	35·00—37·00	Koniczyna na-	
Jęczmień	36·50—37·50	sienn. czer.	470·00—480·00
Groch zwyk.	50·00 60·00	Mąka pszen.	91·00—92·00

Odpowiedzi Redakcji.

W. Szewczyk w J.: Wierszyk jakkolwiek miły, ale nie do druku, gdyż temat ten był opisany wielokrotnie a znacznie lepiej. — **Sikora-Sikorowicz** w W.: Nie wiemy, czy znajdzie Pan nakładcę, gdyż publiczność poezji nie chce kupować, a wskutek tego i wydawcy nie chcą ich drukować. Własnym nakładem rzecz kosztowna, a bardzo ryzykowna. — **Gabrjel Wirstnik** w Sz.: Sprawami realizacji asygnat zajmuje się „Głos wierzycieli“ w Warszawie. Filję swoją ma on w Krakowie przy ul. Dietlowskiej. Nadesłany nam „kawałeczek“ prócz dobrej gwary góralskiej nie posiada takiej treści, aby mógł być drukowany. — **Józef Kapuściński** w L.: Dokończenie „Dziwnych snów“ będzie. Książek, niestety, nie mamy, a na nagrody sami kupujemy. Za wierszyki dziękujemy. — **Józef Morawa** w S. B.: 10 franków otrzymaliśmy. Wierszyk dobry. — **Antoni Głowacz** w Ż.: Oryginalna powieść kosztuje kilka tysięcy złotych, a na to nas nie stać. O nowelki, o jakich Pan wspomina, prosimy, a z całą przyjemnością je wydrukujemy. Nie wątpimy, że Pan zna dużo powieści, ale to jeszcze nie dowód, aby one były znane wszystkim. Przedruków żyjących autorów zamieszczać nie można. — **Henryk:** Utworów bez podpisu nazwiska z zasady nie drukujemy. Nazwisko autora bezwarunkowo znać musimy. — **Władysław Grażyński** w W.: Wiersz dobry. Zagadek mamy duży zapas, więc idą powoli. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Zagadek mamy tak dużo, że trudno oznaczyć nam, kiedy czyje będą drukowane. Wiersze zupełnie dobre. — **Henryka L.** z Mszany i **Antoni Lechowicz:** Zagadki nietylko dobre, ale i dowcipne. Umieścimy. — **Jan Czeluśniak** w W.: Zagadki otrzymaliśmy, pójdą powoli. — **Fr. Masłowski** w K.: Mieliśmy kłopot, bo Pan nie podał dawnego adresu swojego, aleśmy wkońcu znaleźli. O książkę mleczarską popytamy się w księgarni J. Czerneckiego. — **Tad. Kryniger** w P.: Urząd pocztowy w Chrzanowie potwierdził, że „Rola“ stale dla Pana przychodzi i dziwił się, że Pan nie otrzymuje, zatem w drodze z poczty do Pana przepadała. Urząd pocztowy zapytywał się w tej sprawie telegraficznie w Wapienniku i przypuszczamy, że teraz już Pan będzie zawsze „Rolę“ otrzymywał. — **Józef Czuber** z Z.: Listu Pańskiego nie zamieściliśmy z różnych powodów. Wywiązałaby się polemika z której korzyści nikt by nie odniósł. „Rola“ właśnie takiej polemiki politycznej musi unikać. Na zacietrzewienie partyjne to Pan lekarstwa nie znajdzie, wielu zaś tylko udaje takich gorących członków stronnictwa, gdyż z tem im dobrze.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Jan Dubis ucz. kl. VI. gimn. w J.)

☐ ☆ ☆ ■ Inaczej pogląd.
☆ ☐ ■ ☆ Część doby.
☆ ■ ☐ ☆ Wulkan
■ ☆ ☆ ☐ Inaczej szaniec.
☆ ■ ☐ ☆ Połączenie.
☆ ☐ ■ ☆ Brzask.
☐ ☆ ☆ ■ Wspak komik w operze.
☆ ☐ ■ ☆ Imię ruskie.
☆ ■ ☐ ☆ Wspak sprzęt domowy.
■ ☆ ☆ ☐ Zwierzę.
☆ ■ ☐ ☆ Instytucja finansowa.
☆ ☐ ■ ☆ Jaja.
☐ ☆ ☆ ■ Tytuł dawnych władców Peru.

Litery, wstawiane zamiast kwadratów czarnych i białych czytane z góry na dół dadzą dwa imiona i nazwiska znanych autorów.

2. Łamigłówka w prostokącie.

(Ułożył Franc. Rojda z N.).

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
? ? ? ? ? ? ? ?
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■

Znaczenie wyrazów w prostokącie górnym: 1) Rośnie w lesie. 2) Przyrząd do pisania. 3) Mają ptaki. 4) Środek komunikacji. 5) Zwierzęta. 6) Bohater. 7) Ciało porowate. 8) Miasto.

Znaczenie wyrazów w prostokącie dolnym: 1) Zwierzę. 2) Nakrycie. 3) Zwierzę domowe. 4) Imię żeńskie. 6) Drzewo. 7) Rzemieślnik. 8) Ptak.

Końcowe litery wyrazów górnego prostokąta i początkowe litery wyrazów dolnego prostokąta dadzą wyraz, który, niech sobie czytelnicy sami określą.

3. Szarada.

Kto duszę swoją pierwsze czwarte,
Pierwsza i druga go nie minie.
Trzeci zaś, gdy mu damy czwarte,
Królem w sąsiedniej był krainie.
Trzecia i druga — owoc smaczny
Zwłaszcza gdy zdrowy, nie robaczny
Litery to są trzecia, pierwsza,
Bez nich nie znajdziesz nigdy wiersza.
Kto zgadł, jak całość się nazywa,
Wesoło czwarte śpiewa.
Całość rzecz piękna i miła była
Co polską szlachtę dawniej zdobiła.

4. Zagadka.

(Ułożył W. Ciepiela z B.).

Wciąż o jedną się kłócą
Jedne mają zamiary,
Gdy się zgodnie odwrócą,
To dźwigają ciężary.

5. Figielek matematyczny.

Pewien pan, wszedłszy do sklepu, zażądał: cukru za 45 gr., herbaty za 36 gr., kawy za 54 gr. a pomarańczy za 72 gr., Miał przy sobie tylko 9 gr. W jaki sposób obliczył rachunek, że tylko te 9 gr. zapłacił, nie zostawszy nic dłużnym.

Termin nadsyłania rozwiązań z Nru 12 „Roli" upływa dnia 27 bm.

Znaczenie zagadek z Nr 9 »Roli«: 1) Logogryf: Rzeczpospolita Polska, 2) Szarady: Piwowoński, Karolina, Kopalnie, 3) Kwadrat mag.: Wazon.

Znaczenie zagadek z Nru 10 „Roli": 1. Logogryf: Jaki pan, taki kram. Po deszczu pogoda. 2. Szarady: Formalina, Kopaliny. 3. Zagadki: a) Kaśka Myrdalonka miała 301 jaj; b) skok — koks.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Paliga Ludwik z K., Włodzimierz Szewczuk z J., Ignacy Jasko z K., Olga Przyłęcka z Ł. Sz., Andrzej Grzegorzak z U., Władysław Maniewski z D., Jan Lose z M. K., Jan Wojnar z M. G., Tadeusz Maniewski z D., Jan Rosiński z K., Otto Krause z W., Florjan Ciebiera z Rz., Czesław Kozłowski z W., Gabrjel Wirstnik z Sz., Jan Hurkała z Sz., Rudolf Kula z M. K., Jan Czader z S. W., Karol Suchanek z W. G., Wiktorja Mikówna z Z., Piotr Galocz z C., Władysław Sobol z P., Jan Reichart z D., A. Dudziak z P., Julja Kowalówna z T., Karol Masłowski z M., Stanisław Marmuźniak z K., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Hania i Frania Gacówne z B., Michał Jaworek z M. K., Juljan Radoń z I., Marja Woźniakiewicz z G., Jakób Walarus z Z., Józef Kłapacz z Cz., Juljan Józefczyk z G., Józef Gac z B., M. Rutkowski z T., Władysław Ptasiński z B., Antoni Pukielka z T., J. Grzyb z W., Janka Nowakówna z W., Wojciech Ciepiele z B., J. Stanczykiewiczówna, Jan Czader z S. W., St. Jurek z K., Adam Sowiński, Marcin Rogalski z O., Wiktorja Święcicka z D.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Lose z Małych Kończyc i G. Wirstnik ze Szczawnicy.

Ze Związku zawodowych rolników.

W dniu 25 lutego 1927 odbyło się walne zebranie prezesów i delegatów okręgowych Związków zaw. rolników powiatu rzeszowskiego. Przybyli prawie wszyscy delegaci w liczbie około 40, reprezentując około 35 gmin powiatu już w Związku zrzeszonych. Na zebranie przybył również p. T. Łubieński, prezes Kraj. Z. Z. R., p. Jan Jędrzejowicz, marszałek Rady pow. rzeszowskiej i p. Boczar dyrektor współdzielni roln.-handl. w Rzeszowie.

Przewodniczył zebraniu i zagaił p. Kazimierz Dąmbski z Nosówki, organizator Związku w powiecie. W przemówieniu swojem zdał krótkie sprawozdanie z dotychczasowej działalności Związku w powiecie, dziękując serdecznie tym, którzy w tej trudnej początkowej pracy org. pomagali, zwrócił jednak uwagę, że ta praca nie jest skończona, że choć rezultaty już okazały się dodatnie, jednak należy na najbliższą przyszłość całą dobrą wolę i energję rozwinąć, aby Związek osiągnął cel, dla którego powstał: zjednoczenie duchowe i fizyczne wszystkich rolników w całem państwie.

Następnie zabrał głos prezes Łubieński i w swoim referacie, bardzo rzeczowym i słuchanym z ogromnym napięciem, wykazywał cele Związku, kładąc główny nacisk, nie żeby tylko wstępować dla materjalnych korzyści, ale żeby i dusza Związku była jedna i żeby najsilniejszym hasłem było „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego".

Bardzo miłe wrażenie odnieśli zebrani z przemówienia marszałka Jędrzejowicza, który, witając Związek na terenie powiatu, obiecał jak najdalej idącą współpracę i pomoc, na początek zaś ofiarowuje bezpłatnie lokal dla sekretarjatu w gmachu Rady powiatowej.

Przystąpiono do wyboru Zarządu. Skład wybranego jednogłośnie prezydjum i Zarządu przedstawia się następująco:

Prezes Kazimierz Dąmbski Nosówka, zast. prez. Józef Kunysz Zalesie, sekr. Antoni Czuhajowski Rzeszów, skarbnik Józef Goryczko Hyżne, członkowie: Gumiński Jan Zalesie, Kuźniar Antoni Krasne, Trzeciak Franciszek Rudna Mała, Bojda Jan Matysówka, Róg Jan Błędowa Zgłob., Zacios Michał Nosówka, Cupryś Antoni Straszydle, Nalepa Walenty Zgłobień, Nalepa Jan Słocina.

Następnie przystąpiono do dalszego porządku dziennego. Przemawiali p. Kunysz, Goryczko, Pisarek, Bojda, Janik i inni. Omawiano sprawy handlowe, zakup koniczyny, ziemniaków itp. przez Spółdzielnię „Gospodarz" w Rzeszowie. Informacyj udzielał obecny p. Boczar. Wogóle zebranie odbywało się w podniosłym duchu i zrozumieniu, można było wyczuć zapał do współpracy na tle rolnictwa. Przyszedł czas, że chłop polski poczuł obowiązek organizowania się na tle niepolitycznem, a zawodowem i zrozumienie ogólne, że dobrobyt dla rolnika naszego może wywalczyć tylko taka organizacja, która na tle bezpartyjnem bez nienawiści, a przeciwnie z miłością połączy nas wszystkich.

Józef Goryczko.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni »Czasu« w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Przekonał

— Janklu! ta kłódka, którą kupiłem od was przedwczoraj, całkiem nie chce się otwierać, więc wróćcie mi pieniądze.

— Nu, to wam jeszcze źle, przecie kłódka jest na to aby się dobrze zamykała.



To już w rodzie.

— Franek! czemu ty masz zawsze takie brudne uszy?

— Dziś! To u nas już w rodzie.



Poezja i proza.

Poeta: O! przyjacielu!... Spojrz, jak tam prześlicznie na dole.

Prozaik: Skoro jest tak prześlicznie na dole, to po kiego djabła taszczyłeś mnie w ten upał na taką wysoką górę?!...



W winiarni.

Gość: Panie gospodarzu, czy sam jeden tylko pan pracuje w piwnicy?

Gopodarz: Tak.

Gość: Ale przecież przy chrzcie powinno być dwoje kumotrów.

Ze Związku Zawodowych Rolników.

1) Celem wspólnego zakupu cukru miałkiego na święta zechcą wszystkie Związki zgłosić sumę zapotrzebowania i podać ją wprost albo przez spółdzielnie lub też składnice powiatowe kraj. Związkowi Zaw. Roln.

2) Ministerstwo Rolnictwa bardzo popiera Związki hodowców owiec celem popierania rasy i wspólnego zakupu wełny. Celem założenia takich Związków zechcą się Związki Zaw. Rolników zgłosić jak najprędzej do Kr. Zw. Z. R. *Tad. Łubieński*

prezes Kr. Zw. Z. R.

Do powiatowych Związków Zawod. Rolników!

W majątku p. Tadeusza hr. Reja Mużyłów, p. Podhajce jest do nabycia 150 q ziemniaków sadzeniowych po 12 zł. za 100 kg. loco stacja Podhajce. Zamówienia mają być wysyłane wprost do zarządu dóbr Mużyłów, a zaopatrzone w pieczątkę Pow. Zw. i podpis pow. prezesa. O warunkach płatności również tam zasięgać informacyj.

Z Kraj. Zw. Z. R. Tymcz. siedziba Zarządu: Zassów, ad Czarna

Za prezesa: *St. Klehr.*

Do powiatowych Związków Zawod. Rolników!

W sprawie asygnat za odszkodowania wojenne proszę powiadomić członków, aby na razie wstrzymali się z oddawaniem tychże celem ich zrealizowania. Towarzystwo, które się tem miało zająć, na razie wstrzymało swe czynności. To jednak asygnaty te należy dalej zachować, a w swoim czasie uwiadomimy, kiedy je należy znowu posłać, celem zrealizowania tychże.

Tymcz. siedziba Zarządu Kraj. Związku Zaw. Rolników w Zassowie, ad Czarna.

Za prezesa: *St. Klehr.*

Do wszystkich Okręg. Związków Zaw. Rolników powiatu Rzeszowskiego.

W dniu 25 lutego br. po ukonstytuowaniu się powiatowego Związku zaw. rol. zostało biuro pow. sekretarjatu Związku w Rzeszowie w gmachu Rady powiatowej parter na prawo.

Sekretarz urzęduje we wtorki i piątki od 9 rano do 3 po południu. Wszystkie sprawy członków (handlowe, pożyczkowe, assekuracyjne i inne) oraz zgłaszania nowo powstałych Okr. Związków, jak również żądanie referentów celem organizowania nowych Związków tak w pow. rzeszowskim jak i łańcuckim i przeworskim, należy skierowywać w czasie urzędowania do sekretarjatu.

Celem uregulowania hipotek zwróciliśmy się już do prezesa Sądu.

Zakupy koniczyny i nawozów uskuteczniamy w b. roku we współdzielni roln.-handl. „Gospodarz" w Rzeszowie. Cena koniczyny dla naszych członków (cena hurtowna) I-szej klasy, z gwarancją wynosi 5.70 zł. za 1 kg. Kredyt do 15 maja za pokryciem wekslowem żyrowanym przez Okręgowy Związek, a wystawionym przez dwóch członków z danego Związku. Ceny za nawozy sztuczne fabryczne bez prowizji Spółdzielni, z kredytem do 15 października br. za pokryciem wekslowem. Zapotrzebowanie ziemniaków należy zgłaszać przez pow. Zw. Ziemniaki otrzymamy loco Rzeszów między 10 a 12 zł. za 1 q. Płatne gotówką. Prezesi Okręgowych Związków powinni zebrać zadatki na ziemniaki i wraz z zamówieniem i potwierdzeniem pow. Zw. złożyć w „Gospodarzu".

Z powodu ogromnego wyzysku przez żydów w zakupie bydła zrobiliśmy umowę dla naszych członków z kupcem katolikiem z Krakowa, który odbierze zawsze każdą ilość buhai, wołów i krów rzeźnych płatnych gotówką przy odbiorze. Uzyskamy przez to ceny znacznie lepsze, gdyż nie będziemy zależni od miejscowych kupców tylko od cen światowych. W razie sprzedawania takich sztuk, należy je zgłaszać przez Okręgowy Związek do sekretarjatu w Rzeszowie.

Donoszą również, że wobec zamówienia Okręgowego Związku w Krasnem na 60 q. oryginalnych ziemniaków Dołkowskiego, sprowadzamy odrazu 100 q. Resztę będzie można otrzymać w „Gospodarzu" po cenie nie wyższej jak według cennika.

Proszę o cierpliwość w sprawie pożyczek. Będą one na pewno uzyskane. Trzeba wziąść pod uwagę, że nasz Związek się dopiero rozwija, wszelkie nasze prace są początkowemi, więc nie może jeszcze iść wszystko tak składnie jak byśmy sami tego chcieli. Musimy wszyscy nad tem pracować, a na pewno dojdziemy do b. dobrych rezultatów i jak raz utorujemy drogę nietylko pożyczkom, ale wszystkim naszym postulatom, wszystko pójdzie gładko i znacznie prędzej, niż to idzie obecnie.

Kazimierz Dąmbski m. p.

Prezes Pow. Zw. Zaw. Rol.

Drzewka owocowe wszelkie nasiona

dostarcza

Emil Freege

KRAKÓW, Lubicz 38 i Sukiennice 15/16

Cenniki i oferty na żądanie.

Zakład Pogrzebowy Onufrego Fiuta

Kraków, ul. Grzegórzecka 7.

Urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych. Przeprowadza ekshumację i przewozi zwłoki do wszystkich krajów.

Ceny umiarkowane! Tel. 4105 Ceny umiarkowane

Zawiadamiamy Sz. Czytelników, którzy mają z ich własnej winy numera „Roli" poniszczone lub zagubione, że możemy im w miejsce takich przesłać nowe po nadesłaniu 25 groszy za egzemplarz i można przysyłać w listach znaczkami pocztowymi.

2 roczniki „Roli" z roku 1912 zawierające szereg powieści. powiastek, opowiadań, gawęd i t. d. są do nabycia. Oprawny 14 zł. 60 gr., nieoprawny 12·60 wraz z przesyłką pocztową. Wiadomość w Administracji „Roli". Nadto są do nabycia niektóre numera „Roli" z roku 1912 i 1913 w cenie 20 groszy za egzemplarz.

Zawiadamiamy wszystkich nowych Prenumeratorów, że numera od początku roku posiadamy w zapasie i dla całości rocznika wysyłamy.

Kalendarze już wyczerpane!

DOM ROLNICZO-HANDLOWY

EDWARD NIZIENIECKI

Kraków, ul. Karmelicka 23 Spółka z ogr. odpow.

dawniej ERNEST BAHLSEN, poleca:

WSZELKIE NASIONA

do uprawy polnej i ogrodowej, a w szczególności: **Koniczynę** czerwoną, białą, szwedzką, Lucernę francuską, chmielową, Inkarnatkę Seradelę, Esparcetę i t. p. **Nasiona traw** na łąki i pastwiska, **Buraki pastewne,** Marchew pastewną, **Nasiona warzyw i kwiatów,** wszystko z pierwszorzędnych produkcyj zagranicznych, z gwarancją za czystość i siłę kiełkowania. Sprzedaż pod kontrolą Państwowej stacji botaniczno rolniczej we Lwowie.

Rozszerzajcie „Rolę"
Ile macie siły,
By jej słowa kraj nasz cały
Corychlej zwiedziły.